Ten numer da się czytać przy 40° w cieniu!

NR 29 (73) CENA 1 ZŁ

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok II. ŁÓDŹ, dn. 19 lipca 1959 r.

Dziś tylko
8 STRON
Ale za to
już we wtorek
21 bm.
16 STRON

W numerze m. inn.

KOT SPADA NA CZTERY ŁAPY
(Reportaż o polskich komandosach)

NIECH TEDY KOŁŁĄTAJ SIĘ CIESZY

HALO SZANGHAJ PORTO-RICO BOMBAJ — TU ŁÓDŹ

JAN SZTAUDYNGER O SWOIM DZIADKU

NAJLEPSZE DOWCIPY 15-LECIA

KAROL BADZIAK

CZERWONE BLOKI

Łażę sobie i dumam. Czerwone bloki jak zwielokrotnione pudełka zapałek mocno wparte w ziemię. Gorące powietrze drży między murami. Na wymarłym trawniku tabliczka: „Każdy harcerz, każdy zuch, broni zieleni za dwóch". Sucha ziemia wbija się pod piętami malców. Stojak do trzepania dywanów imituje siatkę, gruzowata ziemia — boisko. Jestem tutaj przypadkowym kibicem. Niepożądanym. Ciepły pył wznosi się do ostatnich pięter. Szwendam się, obcy wśród obcych.

Ulice notuję w pamięci: Współzawodnicza, Zawiszy Czarnego, Wojska Polskiego, Władysławowska, Bytomskiej. Staromiejska Dzielnica Mieszkaniowa. Nie taka znów stara. Liczy sobie siedem lat.

Nowe bloki poprzetykane czynszowymi kamienicami. Nowe ulice przecinają stare. Wszystko pomieszane. Mieszkańcy też. Robotnicy i inteligencja, łodzianie i przybysze, starzy mieszkańcy Bałut i ci z innych dzielnic.

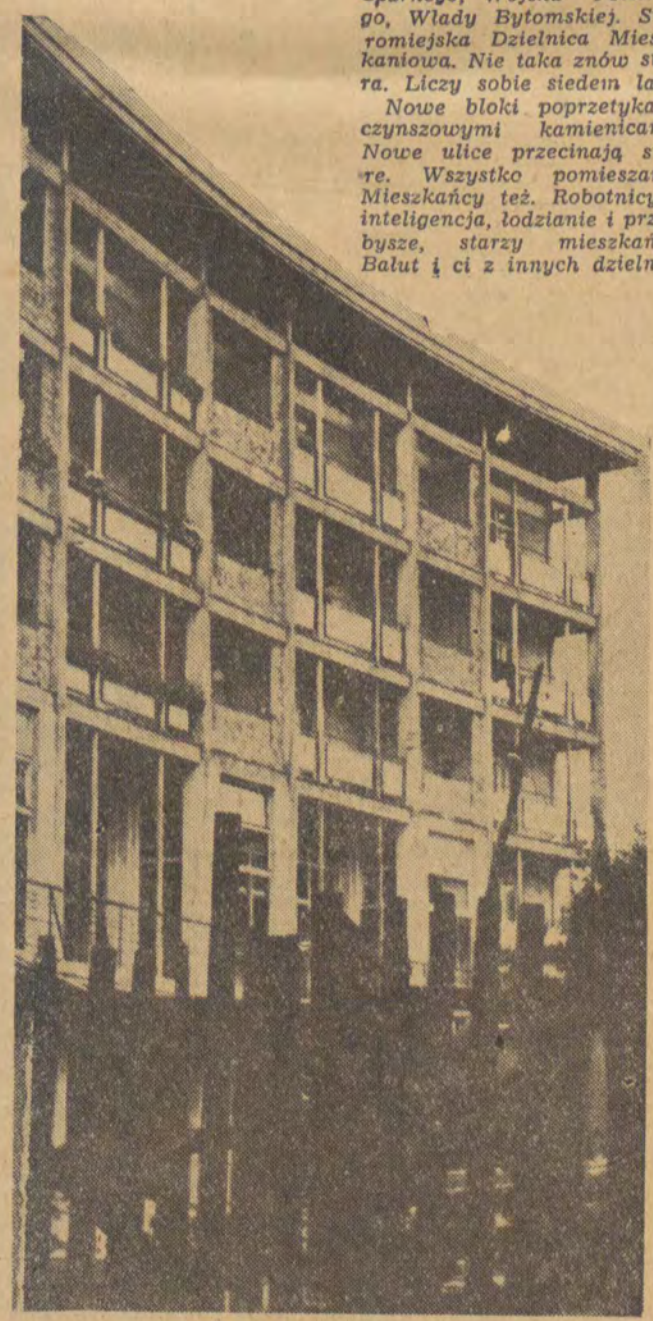

Tu mieszkają robotnicy. Porządek. Nie ma „mądrych". Dobrze.

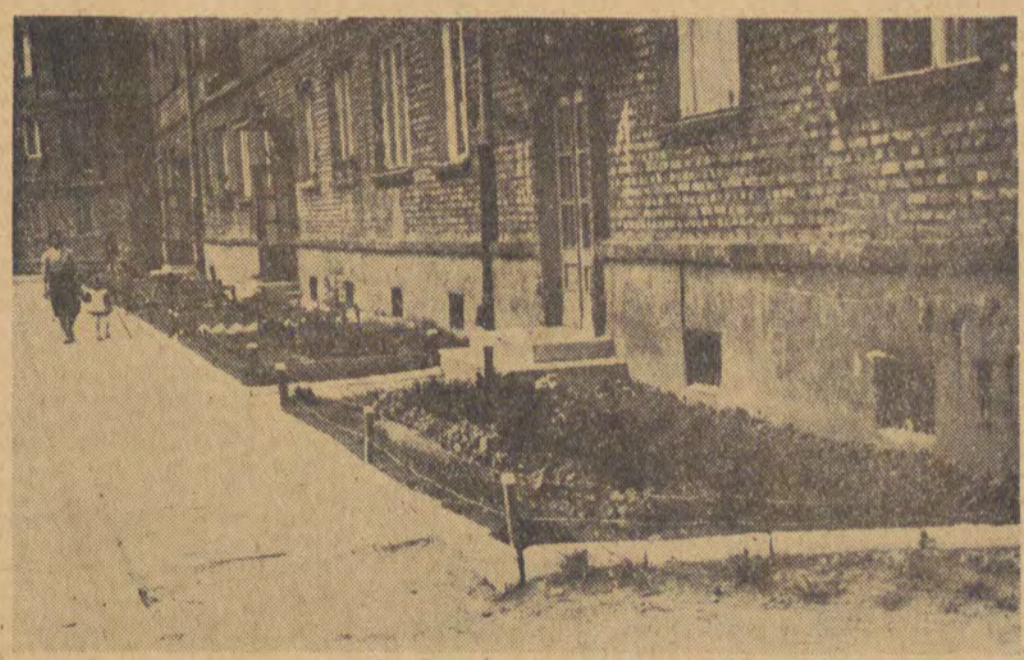

Siedem lat tu już mieszkają, skazani na siebie przez kwaterunek.

Kiedy się tutaj sprowadzili, pachniało jeszcze wapnem a zryta koparkami ziemia tworzyła barykady. Udeptali ją tylko i tak pozostało do dziś.

Niektórzy przydźwigali z sobą wtedy gołębie, kury króliki, kozy, ktoś nawet, jak fama głosi, próbował krowę wciągnąć na czwarte piętro. Nie udało się. Schody nie wytrzymały. Krowa się zabiła, kury dostały pypcia, króliki wyzdychały, koza wyskoczyła oknem a gołębie wróciły do starego gołębnika.

Rozpadł się stary świat pojęć, nawyków i przyzwyczajeń. Zmieniły się warunki. Trzeba się było do nich dostosować. Trudno.

Czy rzeczywiście się dostosowano? Czy w miejsce utraconej więzi społecznej powstała nowa? Czy ukształtowała się w ogóle jakaś więź wśród mieszkańców nowych osiedli? Czy bloki nie zmieniły się w mieszczańskie kamienice? Czy wraz z „Jeleniami na rykowiskach" nie wkroczyła do nowych domów landschaftowa mentalność?

Oto pytania, na które szukam odpowiedzi spacerując po osiedlu. Chcę przeniknąć te grube czerwone nieotynkowane mury o maleńkich oknach, powstałe w okresie raczkowania nowej, socjalistycznej architektury i urbanistyki.

Słońce praży niemiłosiernie. Staruchy siedzą na klatkach schodowych. Pogodna starość. Zgęszczone powietrze pachnie benzyną, zgniłą kapustą i stepową trawą.

Przy ulicy Współzawodniczej jest żłobek z kwadratem placu o boku „pi razy oko" pięćdziesiąt metrów. Plac okrążają żelazne pręty ogrodzenia. W środku faluje

(Dalszy ciąg na str. 2)

SĄ PROROCY W NASZYM KRAJU

Czytaj na str. 3

„Że brudno, że niechlujnie, że można samemu uporządkować? — Nie ma głupich! Sami „mądrzy". Szkoda

Tekst:
KAROL BADZIAK

Zdjęcia:
WŁADYSŁAW KRASKA

CZERWONE BLOKI

Dalszy ciąg ze strony 1

zielona, soczysta trawa. W żłobku znajduje się piętnaścioro „milusińskich", jak to pieszczotliwie nazywają infantylne dziennikarki w reportażach z letnich kolonii. „Milusińscy" rzadko kiedy korzystają z tego placu, a dzieci z czerwonych domów bawią się na ulicy, na brudnym placu, na zaimprowizowanej piaskownicy obok komórek i beczek napiętnowanych lapidarnym skrótem M.P.O. Dobiega stąd skisły fetor rozkładających się nieczystości.

— Nie podoba mi się to — mówię do jednego z mieszkańców.

— Mnie też — odpowiada — ale co robić? A wreszcie ja w rynsztoku puszczałem okręty i żyję do dziś, ot co.

W czerwonym domu mieszka 74 lokatorów. 34 robotników i 40 umysłowych, jak mówi przewodnicząca Komitetu Domowego. Ci „umysłowi" — to najczęściej technicy i inżynierowie. Przeważnie młoda, powojenna inteligencja techniczna.

Pytam wszystkich:

— Dlaczego przed waszymi domami jest tak brudno? Dlaczego wykręcacie żarówki na korytarzach? Dlaczego zrywacie instalacje elektryczne i niszczycie inne urządzenia komunalne? Dlaczego jesteście tacy na wszystko obojętni? Dlaczego nie dbacie o swój dom, o wasz dom?

Przed świętem 1-Maja Dzielnicowa Rada Narodowa zwróciła się do lokatorów, ażeby pomogli przy porządkowaniu terenu przed budynkiem. Niestety, nikt nie wyszedł. Spoglądali jeden na drugiego i każdy myślał sobie: „Ja będę robił, a drudzy będą się wylegiwali. Akurat. Nie ma głupich". Ani jednego głupiego. Wszyscy mądrzy. Szkoda.

Proszono, ażeby chociaż zechcieli skopać ziemię, a Dzielnicowa Rada już sama zasieje trawę. Przecież Dzielnicowa Rada nie dysponuje tyloma robotnikami, ażeby przyszli i krzdemu pod domem zrobili porządek.

Ktoś powiedział: „Na Wielkanoc, jak będzie chodził ksiądz, to może jeszcze wyjdę".

Zróbcie choć na Wielkanoc, to będzie i na Boże Ciało i na 1-Maja i na Wszystkich Świętych i na 22-lipca. Ostatecznie sam fakt może wydać się błahy, aczkolwiek znamienny. Ale nie błaha jest indeferentna postawa mieszkańców nowych osiedli. Nie chodzi tu tylko o porządek przed własnym i we własnym domu. Postawa ta jest charakterystyczna, znamienna i wymowna. Dotyczy nie tylko spraw materialnych, ale określa stopień świadomości społecznej. Niestety, nikła jeszcze jest świadomość. Przejawy społecznej obojętności spotkać można na każdym kroku. Służę faktami.

M.Z.B.M. przydziela co pewien okres lokatorom nowych budynków farbę i lakier do malowania drzwi i okien. 50 proc. lokatorów nie zgłasza się w ogóle po odbiór. Zaznaczam, że się za to nie płaci. Może w tym właśnie tkwi przyczyna? Jeden z lokatorów od chwili zamieszkania, to jest od siedmiu lat, nie odnowił ani razu izb, w których mieszka. Trzeba było dopiero interwencji Dzielnicowego MO. Podkreślam, że nie jest to wypadek odosobniony.

Pewnego razu u jednej pani inżynierowej przez parę tygodni był zepsuty kran w łazience, z którego uchodziła woda. Hydraulik musiał sprawdzić 50 mieszkań, aby odszukać ów kran i naprawić. Kiedy ośmielił się zwrócić uwagę owej pani inżynierowej na jej niewłaściwe w tym wypadku postępowanie — odpowiedziała rozbrajająco: „A to co, zawsze miałam świeżą" i wyrzuciła hydraulika za drzwi.

W tym ptasim, nieomal symbolicznym, mózgu zawarta jest jednocześnie pogarda dla człowieka pracy i obojętność na niszczenie mienia społecznego.

Wielu lokatorów zalega z opłatami komornego i pracownicy MZBM, zmuszeni są ściągać te opłaty w miejscu pracy lokatora, ewentualnie drogą sądową.

A oto jedna ze scenek, jaką zanotowałem w MZBM — Śródmieście. Wchodzi jegomość lekko „zaczadzony" i zwraca się do pierwszej z brzegu urzędniczki:

— Chciałem mówić z komisarzem.

— U nas takiego nie ma.

— Jak to, a gdzie się podział?

— A z jakiej pan posesji?

— Ja nie z posesji, ja mieszkam w Łodzi. Chciałem zapłacić za komorne.

— Niestety, nie wpłacał pan przez pół roku i zmuszeni byliśmy zawiadomić o tym pański zakład pracy.

— A pani wie, jaki to dla mnie wstyd.

Wstyd. A no właśnie.

* * *

Jedną z pań ośmieliłem się zapytać, jak kształtują się więzi społeczne w domu, w którym mieszka?

— Panie — odrzekła — co pan chce, żeby tu kołchoz założyć?

Ponieważ na takie dictum rozmowa nasza na ten temat z całkiem zrozumiałych względów została przerwana, a sprawa wydaje się dość istotna i nie wyjaśniona, więc pozwolę sobie powrócić do niej.

Otóż Szanowna Pani nie zrozumiała pytania i pomieszały jej się pewne sprawy. Po pierwsze, pragnę stwierdzić, że więź społeczna jest pojęciem szerszym od więzi obyczajowych i towarzyskich.

Po drugie, jak powszechnie wiadomo, punkt ciężkości życia towarzyskiego przeniósł się z prywatnych mieszkań do miejsc publicznych, do kawiarń i klubów. Dziś łączą ludzi raczej zainteresowania zawodowe, społeczne, wspólne upodobania a nie bliskie sąsiedztwo lub równorzędna grubość portfeli.

Pójdę jeszcze dalej, powiem, że na rzecz kształtujących się więzi towarzyskich na zasadzie zainteresowań zawodowych, społecznych i innych ulegają rozluźnieniu więzy krwi. Na przykład wizyta u krewnych traktowana jest przez wielu ludzi, jako zło konieczne. Natomiast przykładów więzi społecznych nie będę powtarzał, gdyż brak ich właśnie sygnalizowałem powyżej.

Czy to dobrze, czy źle? I dobrze i nie dobrze. Dobrze dlatego, że dom traktujemy jedynie jako miejsce wypoczynku po całodziennym wysiłku życia zawodowego i towarzyskiego i pragniemy mieć w nim niezbędny spokój i ciszę.

A na „nie dobrze" — dam przykład. Pewna samotna osoba zachorowała. Niestety, do szpitala jej nie chciano przyjąć. Sąsiedzi po obu stronach mieszkania wiedzieli o tym, a jednak nie wyrazili żadnej chęci przyjścia z pomocą. Obojętność ich jest przerażająca.

Bruno Jasieński pisał tak: „Nie obawiajcie się wrogów — bo ci mogą was tylko zabić, nie obawiajcie się przyjaciół, bo ci mogą was tylko zdradzić. Obawiajcie się ludzi obojętnych — bo ci mogą i zdradzić i zabić".

Pierścień nowych osiedli mocno zaciska się wokół Łodzi. Żubardź. Doły. Wierzbowa. Nowe Rokicie. Koziny. Setki domów, tysiące mieszkań, dziesiątki tysięcy lokatorów. Nareszcie. Jeszcze nigdy tyle i w takim tempie nie budowano w Łodzi, co obecnie. Liczba mieszkańców czerwonych i kolorowych bloków będzie ciągle wzrastać.

W związku z tym zagadnienie struktury socjalnej nowych osiedli nabierze określonej ważności. Z moich reporterskich, a więc z założenia niepełnych i niekompetentnych obserwacji wyciągam jeden wniosek i jeden postulat.

Obecna struktura socjalna mieszkańców nowych bloków — pół na pół robotnicy i inteligencja — nie zdaje życiowego egzaminu.

Ażeby osiedla — w założeniu socjalistyczne — należycie spełniały swą funkcję należy dotychczasowy stan osiedlania zrewidować. Gra warta świeczki i dobrze by było, gdyby zasygnalizowane tutaj sprawy doczekały się jakiejś interesującej dyskusji i pożytecznego rozwiązania.

Nasza szkółka

LIST DO SZEFA

SZEFIE!

Siedzisz na urlopie a ja siedzę tu i robię za Ciebie „Odgłosy". Zdawać by się mogło, że Tobie jest dobrze, a mnie źle. Pozór. Przyjrzyj się swojemu urlopowi.

W Łodzi przejmują Cię, dręczą lub złoszczą Wielkie Sprawy. Z nadmorskiego dystansu, z dystansu plaży, Wielkie Sprawy pokracznie zmalały. Czy wobec tego nie dręczysz się, nie masz zaprzątniętej głowy, nie złościsz się i nie irytujesz? Nie prawda.

Tak jak na codzień Wielkie, tak na urlopie zaprzątają Twą głowę małe sprawy: opieszałość (pardon) mojej chlebodawcowej w szykowaniu się do wyjścia na plażę, czekanie na stolik w restauracji, to że deszcz pada, a nie wprost przeciwnie, to że ten kociak (wiemy obaj który) nie z Tobą, przyjechał, fakt, że slipy, które mają za zadanie uprzystępnić bliźnim obraz Twej klasycznej sylwetki gdzieś się zapodziały, to, że znajoma żony gada i gada i gada, że tamci rżną całymi dniami w brydża i że godzina trwa dłużej niż w mieście.

Wynikają stąd dwa wnioski. Pierwszy: nie należy odrywać się od Spraw Wielkich, bo ich miejsce zajmą sprawy małe. Drugi: nawet wtedy gdy się oderwiemy — nic się nie zmienia (Poza tym, że niknie błogie samozadowolenie płynące z tego, że ma się tą z urzędu nad bliźnimi przewagę, że nasza pomazańcza głowa przeznaczona jest do bólów na tle Spraw Wielkich, a nie małych).

Czyż więc człowiek, którego głowa etatowo zaprzątnięta jest Sprawami Wielkimi, nie jest w ogóle w sytuacji urlopowej zdolen oderwać się od irytacji sprawami małymi? Zapewne może. Zbyt wysoka to jednak sztuka i szkoła życiowej jazdy. Nie mniemam, iżbyś ją opanował, Szefie. Tak dobrego zdania o Tobie nie jestem nawet za pieniądze, które mi płacisz z kieszeni PRL.

Jak już jednak, Szefie, jesteś w tym kurorcie, rozejrzyj się po plaży i Twoim domu FWP. Prawda, jakie denerwujące towarzystwo? Buchalterzy pozujący na królów życia i bon vivant'ów. Tabuny starych pantoflarzy odurlopowo przemienionych na anegdotczyków, działających non stop. Kawalarze, w życiu cywilnym zatrudnieni w zakładach pogrzebowych. Matki kilkorga dzieci, pozujące na BB lub księżne Kentu de la Czterylitery. Jakieś lowelasy na dwa tygodnie w roku i kokotki-chichotki, które na jeden turnus urwały się z kruchty...

Cała ta menażeria działa na zasadzie jakiejś maskarady i nieautentyczności. Na dwa tygodnie ludzie ci postanowili przestać być sobą, pełną piersią odetchnąć, zyskać wyzwolenie absolutne. Nudzą się śmiertelnie. Co gorsza, nudzą i innych denerwująco a wrzaskliwie.

A jednak nasz zwykły nadmorski urlop o sarmackim kształcie wyróżnia się we współczesnym świecie.

Czy byłeś, Szefie, na amerykańskim, wielokolorowym i szerokoekranowym filmie p.t. „Piknik"? Jeśli tak, pamiętasz zapewne doskonałą scenę masowego weekendu mieszkańców prowincjonalnego miasteczka w USA. Scenę nakręconą z ogromnym ładunkiem satyrycznym i nie mniejszym ładunkiem sympatii dla wykpiwanej obyczajowości.

Wyścigi w workach, chór rewelersów, miss piękności wjeżdża na łabędziu wśród cukierkowej iluminacji, mnogość przedziwnych gier i zabaw.

A czy może czytałeś, Szefie, reportaż (w „Przekroju" lub w „Świecie") o całych miasteczkach rozrywkowo-urlopowych, dostarczających pensjonariuszom wszystkich uciech, jakie tylko wydumała technika współczesnej rozrywki?

Mniemam, że wszystkie te urządzenia stanowiące summa summarum zmasowaną antykulturę byłyby z radością przyjęte przez nasze przeciętne uzdrowisko. Ba nasze uzdrowisko, gdy dyskutuje o sposobie spędzania czasu urlopowego, obarcza winą za nudę odpowiednie instytucje, nie dające dostatku rozrywkowych urządzeń, nie organizujące masowej rozrywki.

I u nas bowiem zdążyło już się zakorzenić przyzwyczajenie, wedle którego twórcą wszystkiego co w życiu można konsumować musi być jakaś instytucja. Zaczynamy bez wahania rozciągać ogólne wymagania życiowe adresowane do różnych instytucji, na rozrywkę, odpoczynek, ba nawet miłość, która dziś wymaga zabiegów związanych z takimi urządzeniami jak kawiarnia, dancing, kino. Bowiem aktorzy przeciętnego współczesnego romansu bez owych urządzeń czują się nieporadni. Pozostawieni sam na sam nudzą się, nie mają o czym ze sobą mówić. Instytucje rozrywkowe wypełniać muszą czas, który panująca konwencja przeznacza na zabiegi wstępne jako też czas pomiędzy zabiegami będącymi owych wstępów celem.

Ale wróćmy, Szefie, do tematu. Nie wiem, co chroni nas od zalewu „kultury masowej" w czasie przeznaczonym na wypoczynek. Czy brak środków na urządzenia techniczne: mechaniczne zabawki, estrady, zawody, wyścigi w zżeraniu placków z jagodami itp. Czy fakt, że w naszym kraju spece od kultury masowej mają owo minimum świadomości pozytywnego wzorca kulturalnego, bądź też minimum smaku przeciwdziałającego antykulturowej „cywilizacji wypoczynku". A może smakowi temu towarzyszy świadoma niechęć posługiwania się transmisjami dla glajchszaltowania umysłów i obyczajów?

Jaka by nie była geneza przyczyn, faktem jest, mój Wodzu, że usiłujemy dokonać przeskoku pewnego etapu rozwoju kultury i cywilizacji masowej, opierając się bohatersko naciskowi mas. Że samorodnej twórczości wyzwolonych buchalterów na wczasach przeciwstawiamy intelektualną i instytucjonalną nieinterwencję. Słowa „przeciwstawiamy" użyłem tu celowo. Bo nieinterwencja w tym wypadku jest działaniem przeciwstawnym. Nic bowiem łatwiejszego jak zaskarbić sobie wdzięczność szerokich rzesz zebranych na plaży, na wielkim wypoczynkowym wiecu, nasyłając im etatowych instruktorów od wyścigów w workach i urządzając taki ogólnonarodowy piknik, od którego Amerykanom oko by zbielało.

W ten sposób może przeczekamy czas, w którym to masowość wypoczynku produkuje masowe baranienie. Przeczekamy go wypatrując na horyzoncie jaskółek wieszczących narodziny jakichś pozytywnych wzorców kulturowych, będących przynajmniej kompromisem między indywidualistyczną kulturą elitarną a cywilizacją masowych środków transmisji.

Nie wytężaj wszakże tam, nad morzem, oczu, drogi Chlebodawco. Chroń je, tak cenne, dla wykonania planów redakcyjnych. Bo na razie Ty, intelektualista, nie możesz zdobyć się na dystans wobec kataklizmów typu „slipy zginęły!" a znajoma żony gada i gada. A nawet nie jest wykluczone, że urządzasz wyścigi w workach.

W każdym razie trzymaj się ciepło czyli nie właź do wody.

Twój

B.

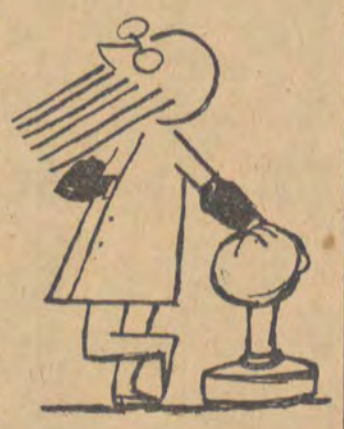

NAPISAŁ ANDRZEJ BRYCHT

ZDJĘCIA: WIESŁAW MACHEJKO

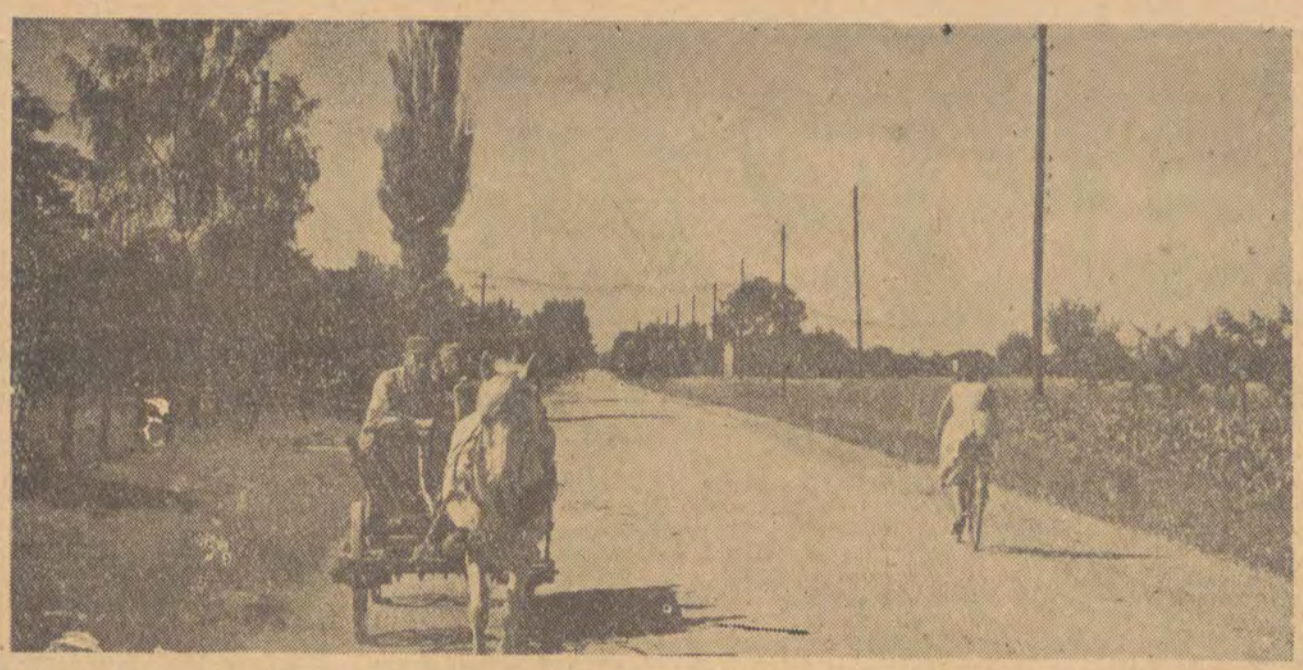

Ulica Tomaszowska. Jezdnia przebudowana przez miejscową ludność

SĄ PROROCY W NASZYM KRAJU...

Ob. Szeląg, jeden z tych, dzięki którym już w tych dniach pobiegnie po ulicy Tomaszowskiej autobus miejski

A więc jednak — są. Nigdy bym w to nie uwierzył, gdyby któregoś dnia los nie zetknął mnie z obywatelem Michałem Prorokiem — nie natchnionym ascetą, lecz człowiekiem z krwi i kości — takim, któremu leży na sercu dobro współobywateli; takim wreszcie, który nie lubi siedzieć z założonymi rękami i czekać na cud. Choćby szło tylko o „cud komunikacyjny".

Konkretnie — żeby czytelnika nie nużyć — o co rzecz idzie?

Zacytuję trochę suchych, prostych zdań z „memoriału", który mi obywatel Prorok przedstawił. Oczywiście właściwym adresatem był Wydział Gospodarki Komunalnej Prezydium Rady Narodowej miasta Łodzi.

A więc:

„Uprzejmie prosimy o uruchomienie autobusu osobowego na odcinku od końcowego przystanku tramwajowego linii „14" na ulicy Dąbrowskiego, do końca ulicy Tomaszowskiej. (...). Do ulicy Dąbrowskiego przylegają następujące ulice: Senna, Wedmanowej, Chojeńska, Turbinowa, Wiosenna, Tkaninowa, Poręby, Kolonia Augustów, Dąbrowa. Zaś do ulicy Tomaszowskiej przylegają: Sekwestratorska, Bławatna, Olechowska, Czółenkowa, Elewatorowa, Jedwabnicza, Ciągnikowa, Gatunkowa, Transportowa, Kopalniana, Suszarniana, Kolumny oraz pobliskie wsie: Olechów Mały i Duży, Wiskitno-Las, Stefanów, Bronisin, Giemzów, Feliksin i inne.

Jak z tego widać, jest to obręb dość duży, gęsto zamieszkały. Tutejsi mieszkańcy są pozbawieni jakichkolwiek rozrywek kulturalnych, nie ma kina, świetlicy itp. Nie ma w pobliżu sklepu rzeźniczego, pieczywo jest nie zawsze w dostatecznej ilości. Mieszkańcy tej dzielnicy są pozbawieni środków lokomocji i to wpływa ujemnie na warunki bytowe, na życie kulturalno-oświatowe i sprzyja rozwojowi pijaństwa. Nie mając możności dojazdu do miasta mieszkańcy są skazani na wegetację w swojej dzielnicy. Wobec tego na walnym zgromadzeniu, które odbyło się w dniu 8. III. 1959 r. o godzinie 15.00 mieszkańcy jednogłośnie postanowili zwrócić się do odpowiednich władz o uruchomienie linii autobusowej..."

Tu wtrącić trzeba: pierwsza prośba o autobus odrzucona została przez Wydział Komunikacji z wyjaśnieniem, że autobusu nie da się uruchomić, gdyż ulica Tomaszowska, to nie ulica, lecz wertepy, i po tygodniu autobus diabli by wzięli. Wobec tego mieszkańcy zapomnianej dzielnicy... Ale poczytajmy „memoriał":

„Aby uczcić czynem trzeci Zjazd Partii postanawiamy naprawić nawierzchnię ulicy Tomaszowskiej od wiaduktu do ulicy Kolumny. Ponieważ autobusowi są potrzebne „pętle", zobowiązujemy się zniwelować plac przy skrzyżowaniu ulicy Tomaszowskiej z ulicą Kolumny, zaś drugą pętlę wykonać przy końcowym przystanku tramwaju linii „14". Mamy nadzieję..." itd.

Następują podpisy, a jest tych podpisów zbyt wiele, by wszystkie wymieniać, bo aż dwieście czterdzieści.

Wyłoniono dziesięcioosobowy komitet, którego zadaniem było trzymać sprawę w garści, żeby się nie rozlazła w abstrakcję, jak wiele innych cennych inicjatyw w naszym kraju. Przewodniczącym tego komitetu został ob. Michał Prorok. Ciężkie zadanie przypadło mu w udziale: deptać po urzędach, po biurach, instytucjach — żeby wydębić materiał, potrzebny do zrobienia należytej szosy. Nie bardzo to szło, a dlaczego, nie trzeba chyba tłumaczyć. Oczywiście, walki z biurokratami nie mogły być decydującą przeszkodą: w dniu dziesiątym maja mieszkańcy ruszają zbierać po polach, po cmentarzach — kamienie. Proszą władze o przydzielenie tłuczarek do tych kamieni, a było ich trzynaście metrów sześciennych. Zanim się władze namyśliły: dać czy nie dać — potłuczono młotkami kamień w drobny mak. Zwieziono siedemdziesiąt wozów żwiru stopięćdziesiąt metrów sześciennych szlaki, skombinowano siedemdziesiąt dwie sztuki płyt przystankowych. Dzielnicowa Rada Narodowa przydzieliła jedną tonę cementu na dreny.

Po dziesięciu dniach materiał był zwieziony i czekał. I oto dwudziestego maja sto osiemdziesiąt osób ze szpadlami, grabiami, kilofami i siekierami rusza do pracy.

Mieszkańcy Dąbrowy i przyległych ulic kręcą głowami:

— Po co oni się męczą, to państwo powinno zrobić...

Pracujący odpowiadają:

— Państwo, to my!

Jeden tylko Dąbrowiak, milicjant Zenon Marciniak, rozumiał sens tej roboty. — Przepracował sam dziesięć godzin. Inni do końca nie chcieli.

Wśród tych, co pracowali, byli różni ludzie: młodzi, po osiemnaście lat, i starzy. Ot Stefan Owczarek. Stary sześćdziesięcioletni emerytowany kolejarz. Wiadomo: reumatyzm, a to w krzyżu łamie, a to w nodze strzyka. Ale zwoził Owczarek kamienie. Taczką ręczną zwoził. A zdarzały się przy robocie błędy, bo fachowców to tam znowu za dużo nie było. Wyznaczyli miejsce: tu pan zwiezie, panie Owczarek. Za parę dni zwidziało im się, że to złe miejsce, wyznaczyli nowe. I Owczarek wielką górę kamieni ładował i przewoził znowu, jakby młodszy o trzydzieści lat.

Do dwudziestego czerwca trwała cała robota. Przepracowali na niej, jedni mniej, inni więcej, jak dwa Toruńie — Władysław i Jan, jak Stefan Murawa, Jan Lasowy, i Owczarz i Chruściel, ale nie o to idzie, kto ile pracował, bo robili za darmo, a nie każdemu czasu starczało. Idzie o to, że zrobili razem drogę, i to dobrą drogę, długą na dwa kilometry bez mała, szeroką, z dwiema pięknymi pętlami przy końcach, z przystankami i kwietnikami przy nich. Koło gospodyń z Wiskitna i okolic pięknie kwiaty posadzi, staną ławki na przystankach, będzie poczekalnia pod dachem.

Prawie dwa tysiące godzin roboczych oddali państwu ci, którzy zrozumieli, że państwo, to i oni sami. Kosztowałaby ta robota ze dwieście tysięcy złotych — o ile w ogóle można mierzyć wartość czynu społecznego ilością złotówek.

Jadę popularnym (bo tanim) lecz słabym wozem P-70. Wiadomo: kruche resorowanie, samochód źle „trzyma się" drogi. Kie-

(Dokończenie na str. 5)

W numerze 27 „Odgłosów" wydrukowaliśmy pierwszy artykuł pod powyższym tytułem, będącym zarazem tytułem cyklu. Dziś zamieszczamy artykuł drugi p. t. „Urojenia". Trzeci odcinek, który z kolei opublikujemy, nosić będzie tytuł „Samobójcy".

W Rio de Janeiro można w czasie towarzyskiego spotkania bez żenady wymieniać na głos wzajemne informacje o przebiegu kuracji przeciwkiłowej. Rzucenie jednak bodaj śladu podejrzenia o gruźlicę w szczególniejszych wypadkach może spowodować morderstwo.

Co kraj to obyczaj. U nas, na przykład, względem kiły i gruźlicy jest prawie odwrotnie.

Socjolog miałby pewnie wdzięczny temat, gdyby podjął trud uzasadnienia tej — z punktu widzenia polskiego i brazylijskiego czytelnika — równie absurdalnej różnicy ocen. Jest bowiem faktem — i to można stwierdzić bez ryzyka i bez socjologicznej analizy — że różne społeczeństwa różnie uhierarchizowały różne zjawiska swego życia — i to nie tylko w medycynie.

Choroby umysłowe mają u nas etykietę zdobioną kaduceuszem Stańczyka. Żartobliwą. Nie znaczy to, że trzeba zaraz przeprowadzać publiczne dysputy o elektrowstrząsach. Ale jeśli nasze opinie o chorobach umysłowych kształtuje casus Lili Fontelli, utalentowany śpiewak kawiarniany w programie własnym, to nie jest wszystko w porządku. I nie jest tym bardziej w porządku, bo połowa ewentualnie ankietowanych z całą pewnością odpowie, że Lili Fontelli wcale nie jest „taki głupi", a w ogóle posiadanie „wariackich papierów" (o cześć Ci, Wiechu, i za ten trwały pomnik w kulturze narodowej!) jest swego rodzaju społecznym przywilejem. Oczywiście na odległość. Z bliska, broń Boże, mógłby porąbać siekierą, cholera go zresztą wie — wariat... W bezpiecznym dystansie, tak, aby nie tracić widowiska i nie dostać przez łeb. W sumie dodatek do cyrku z fokami. Foka, stworzenie egzotyczne, nie wiadomo czy gryzie, ale tańczy...

Lili Fontelli notowany jest w kartotekach łódzkiej psychiatrii. Jego przypadek (dla ciekawszych) nosi nazwę „encefalopatia". Nie jest ani szkodliwy, ani, tym bardziej, groźny. Jest po prostu jednym z rodzajów typowego niedorozwoju umysłowego. Stokroć groźniejsi są umysłowo chorzy, których w naszym otoczeniu n i e r o z p o z n a j e m y. Potrafią się doskonale maskować. Zresztą — mimowolnie. Sami bowiem są niewzruszenie przekonani o swojej normalności. U bystrego obserwatora mogą co najwyżej zyskać opinię „dziwaków". Czasem przechodzą przez życie nawet bez tej skromnej, bardzo skromnej, jak na drzemiące w nich możliwości, opinii. Czasem, szczęśliwie bardzo rzadko, wydarza się tragedia i wówczas cała nagła i przerażająca prawda psychiatryczna dochodzi do głosu, demaskuje.

Mowa będzie o obłędach urojeniowych: paranoi i parafrenii. Obie te choroby umysłowe polegają — z grubsza biorąc — na konsekwentnie, logicznie zbudowanym systemie urojeń, tworzącym niekiedy całą osobowościową doktrynę, światopogląd. Stopień społecznego zagrożenia zależy od treści tych urojeń. Niektóre są brzemienne zbrodnią. Inne polegają na nieszkodliwym, co najwyżej nudnym dla otoczenia maniactwie. Wśród tych ostatnich znajdzie się wiele wynalazczych ambicji srodze uczonych inżynierów, a nie jeden legalny numer urzędu patentowego powinien być raczej numerem psychiatrycznej karty chorobowej.

Oba schorzenia przy orzecznictwie sądowo-psychiatrycznym kwalifikują całkowitą n i e p o c z y t a l n o ś ć sprawcy czynu przestępczego.

Oto krótki opis przypadku paranoi (L. Korzeniowski, Zarys psychiatrii, str. 111):

„W. S. lat 50, farmaceuta. Chory od dłuższego czasu zmienił się pod względem zachowania i stosunku do otoczenia. Pisze dużo, pracuje po nocach. Twierdzi, że wynalazł środek, który leczy wiele chorób, a mianowicie kiłę, gruźlicę, nowotwory i inne. W sprawie tej pisał liczne podania do władz państwowych, jednak nie był zadowolony z ich odpowiedzi i zaczął zwracać się do nich natarczywie i ostro, posądzając o intrygi wrogów, którzy chcieliby mu wynalazek odebrać. W sposób usystematyzowany opowiada on o swym wynalazku, którego wyniki ocenia bezkrytycznie i bez podejścia lekarskiego. Halucynacji ani objawów otępienia nie ma".

Z innym opisem autentycznej paranoi mogli się zetknąć Czytelnicy „Buntu na okręcie" H. Wouka. Kapitan, dowódca jednostki bojowej floty USA na Pacyfiku cierpi na urojenia prześladowcze i wykorzystując (pierwszy po Bogu!) władze złośliwie prześladuje swoje otoczenie, pomawiając je o nielojalność i wrogość względem siebie. W krytycznym momencie, prowadząc okręt do oczywistej zagłady, zostaje przez oficerów pozbawiony prawa dowodzenia. Społecznie pouczający jest fakt, że człowiek taki mógł z o s t a ć kapitanem statku i że bohaterowie rzekomego buntu... stanęli przed sądem wojennym.

Mam przed sobą dokument przerażający swoją wymową: wyznania parafrenika Historia życia spisana skrupulatnie na 20 kartkach kancelaryjnego papieru. Historia człowieka chorego na parafrenię od 12 roku życia, człowieka, który uzyskał maturę, ożenił się, zdobył kompletne kwalifikacje zawodowe i pełnił funkcje o dużym stopniu odpowiedzialności społecznej. Niechaj w atmosferę tej ludzkiej tragedii wprowadzi nas zakończenie dokumentu:

„Zbrodnia, jakiej się na mnie dopuszczono, mogła

(Dokończenie na str. 4)

urojenia

DOKOŃCZENIE ze str. 3

się zdarzyć tylko w narodzie polskim, w narodzie obranym z rozumu, w narodzie, który pod względem zbrodni wyprzedził Niemców w czasie i prześcignął w metodach, ale wierzę, że to zwycięstwo, osiągnięte takimi środkami, będzie piekło moich prześladowców jak koszula Dejaniry".

Pod dokumentem widnieje data: 15 lutego 1959 r. Jest oczywiste, że w tych okolicznościach nie wolno mi ujawnić żadnych szczegółów, które mogłyby kogokolwiek naprowadzić na ślad chorego, korzystającego obecnie z zaświadczenia o okresowej niezdolności do pracy, wydanego zresztą dla formalnie innych przyczyn' Odwołując się do zaufania Czytelników przytoczę przekonanie Huxleya, że fikcja literacka tym różni się od rzeczywistości, iż za dużo w niej sensu. Można więc łatwo osądzić.

Wróćmy do dokumentu. Skąd tak apokaliptyczne oskarżenie?

„Miałem lat 12 jak zaczęły się ze mną dziać rzeczy niesamowite. Pewnej nocy usłyszałem natarczywy głos, który kazał mi spółkować z moją matką..."

Następuje seria jeszcze nie kojarzących się wzajemnie

jeszcze nie usystematyzowanych doznań prześladowczych. Chory chłopiec słyszy „głos", nie może się opędzić natrętnym myślom, ulega przeróżnym lękom, np. obawie przed mimowolnym wypowiedzeniem słów ordynarnych, co zresztą zdarza mu się wielokrotnie.

Ten stan trwa całe lata. Chłopiec jest zdolny, uzyskuje maturę z dobrą lokatą, wybija się ze swego robotniczego środowiska, rozpoczyna pracę jako urzędnik. Nikt nie podejrzewa skłębionej, dramatycznej walki, którą toczy sam z sobą. Skrzętnie okrywa tajemnicą swe ułomności, dopatrując w nich jakichś kompleksów. Sięga po literaturę fachową. Przegląda Freuda, Adlera. Z podziwu godnym krytycyzmem szuka swego obrazu w opisach psychiatrycznych. I oto w 24 roku życia — 12 lat od daty, w której sam umiejscowił początek swojej choroby — następuje olśnienie: h y p n o z a! Wszystko staje się jasne, logiczne, oczywiste. Nie był panem swojej woli. Każdym ruchem, każdą jego decyzją kieruje ktoś inny — hypnotyzer, jego osobisty wróg, prześladowca. Przypomina sobie nawet tego człowieka. Odtwarza jego wizerunek i imię: kolega z trzeciego oddziału szkoły powszechnej. Ich drogi już dawno wprawdzie się rozeszły i zginął wszelki ślad znajomości. Ale to na pewno ten. Dlaczego? Tego strzeże „cenzor podświadomości"...

Urojenie parafreniczne skrystalizowało się i osiągnęło swą dojrzałą postać. Odtąd życie chorego staje się pasmem udręczeń, bezskutecznych prób uwolnienia się od wpływu „prześladowcy".

W 25 roku życia chory żeni się. Jeszcze w kilka miesięcy przed ślubem przeżywa silny wstrząs. Nocą słyszy nad samym uchem świszczący szept: „tryper". Wie, że nie jest chory na rzeżączkę, a jednak nie może przegnać tej myśli. Odwiedza kilku lekarzy, czerwieni się z zakłopotania kiedy koledzy opowiadają ordynarne kawały o chorobach wenerycznych. Gdy do ślubu pozostaje dwa tygodnie narzeczona wyraża nagle dezaprobatę wobec kroju garnituru i poleca innego krawca.

„W drodze do krawca zaczepiła mnie prostytutka. Nie wiem co się ze mną stało. Spółkowałem z nią, chociaż byłem stroną bierną. Zaraziłem się tryprem. Ten zbrodniarz tak wszystko zainscenizował, żeby w mojej świadomości winną choroby była przyszła żona. Chciałem popełnić samobójstwo, ale dr B. wyleczył mnie szybko".

Komplikacje życiowe narastają i coraz konsekwentniej przypisywane są „hypnotyzerowi-prześladowcy". Między innymi odnawia się nieudolnie leczona rzeżączka.

„Gdy dr B. zbadał mi spermę i powiedział, że musiałem pewnie drugi raz złapać trypra, bo jestem bezpłodny, od razu przypomniałem sobie ten jego głos słyszany kilka lat temu: nie będziesz miał dzieci".

Urojenia prześladowcze długo jeszcze obracają się w sferze płciowej. To jako paniczna obawa przed zarażeniem kiłą, to jako okresy wzmożonej pobudliwości, lub — odwrotnie — niemocy.

„Przez cały rok męczył mnie („prześladowca" — przyp. A. M.) erekcja prącia. Długimi godzinami nie mogłem wstać zza biurka, wstydząc się moich podwładnych. Kilkakrotnie prosiłem o osobny pokój, tłumacząc to nawałem pracy. Dyrektor uśmiechał się głupkowato i odmawiał zawsze, chociaż byłem jedynym kierownikiem działu bez własnego gabinetu. Potem zrozumiałem, on go już urobił przeciwko mnie i chciał, żebym się sam okastrował. Ale odparłem i ten atak".

Tu po raz pierwszy pojawia się osoba dodatkowo inspirowana przez „dręczyciela". Powoli krąg tych osób rozszerza się. Gest, uśmiech, grymas twarzy zwiastuje choremu przygotowywany starannie podstęp. Zaproszenie na przyjęcie, nawet częstowanie papierosem może kryć niebezpieczeństwo zarażenia kiła. Chory żyje w stanie permanentnej mobilizacji wewnętrznej.

W czasie wojny jeden epizod zmienia błyskawicznie sfere doznań prześladowczych.

„Wkładałem buty i jakoś mi to nie szło. Pomyślałem sobie, że u Żydów wkładanie obuwia objęte jest rytuałem. I wtedy usłyszałem jego głos: ty jesteś Żydem".

Teraz w „wyznaniu' chory szczegółowo deliberuje nad specjalnym rodzajem perfidii w nowym podstępie „prześladowcy". Jest oczywiste, że „prześladowca" chce go umiejscowić w getcie i pozbawić tym samym całego dorobku, a może nawet życia. Chory rozpoczyna żmudną wędrówkę dla udokumentowania swej aryjskości. Zdobywa metryki do czwartego pokolenia świadczące o braku najmniejszej choćby domieszki krwi żydowskiej. Dalej ślady się urywają. Jakoż wkrótce „inspirowani przez prześladowcę" zaczynają działać według nowego ustawienia.

„J., moja kuzynka, przedstawiając mnie swojej sympatii powiedziała: to mój wujuś — s z m u l u ś (podkreślenie moje — A. M.). Spąsowiałem, zaczęły mi drżeć ręce. Nie miałem już przyjaciół. Nawet w rodzinie poczynił mi wrogów".

i dalej

„Ta cała banda nie dawała mi spokoju. Charczeli na ulicy, pluli mi pod nogi, wyzywająco niuchali cebulę. Co raz to ktoś z sadystycznym uśmieszkiem informował mnie, że jakiegoś Żyda wyłuskali i odstawili do getta".

Siły wyczerpują się w nieustannej walce z „prześladowcą". Mija wojna, udręka przenosi się na bezsenność, na zakłócanie odpoczynku.

„Teraz to mi nawet czytać nie daje. Wpędził mnie w rozstrój nerwowy ten zbrodniarz. Jestem poważnie chory".

Zbliża się koniec tragicznych wyznań. Ani choremu, ani otoczeniu nie przyszło na myśl, żeby zasięgnąć porady lekarza-specjalisty. Psychiatra otrzymał te wyzna-

nia drogą okrężną, przez Ministerstwo Sprawiedliwości, gdzie chory skierował tak właśnie umotywowaną prośbę o ściganie z urzędu swego „prześladowcy"...

ANDRZEJ MAZUR

pod redakcją Henryka Andersa

Przez blisko rok, mili słuchacze, rozmawialiśmy o różnych zjawiskach świata sztuki. Mówiliśmy o rzeczach aktualnych i wiecznych, czasami zgadzaliśmy się, niekiedy milcząco kłócili. Doszliśmy jednak do zgodnego wniosku, że materiał, który przerobiliśmy stanowi drobniutką tylko cząstkę ogromnego bogactwa faktów artystycznych i ludzkich na ten temat poglądów.

Ale cóż? Nieoceniony PIHM zapowiada gorące lato. Umysły rozgorączkowane przed urlopową krzątaniną nie skłonne są do cichej, powolnej kontemplacji, której wymaga sztuka. Odzywa się głos natury, głos, który każe porzucać rodzinne pielesze i lecieć w dal ptakom wędrownym i ludziom. Pozostaje mi tylko życzyć Wam przychylnej pogody i dobrego wypoczynku.

Być może jednak w wędrówce swojej natkniecie się na te same uroki świata, które były natchnieniem artystów. Będę bardzo wdzięczny, jeśli napiszecie o tym do Palety..

Zaczynamy więc wakacje. Po przerwie, we wrześniu, wrócimy do naszych rozważań.

O Zachodnim monolicie uwag kilka

JACEK LEBEN

Z tymi monolitami politycznymi to naprawdę różnie bywa. Im głośniej się o nich mówi, tym jest gorzej z monolitycznością. Przykładów można wygrzebać sporo. Tym razem interesuje mnie jeden tylko monolit, na który składają się trzy mocarstwa zachodnie — Stany Zjednoczone, W. Brytania i Francja, jak również Niemiecka Republika Federalna, która z powodzeniem do tych mocarstw doszlusowuje.

Przed konferencją genewską przywódcy mocarstw zachodnich licytowali się w przemówieniach na temat całkowitej jedności Zachodu. Wścibscy dziennikarze pisali wprawdzie o czymś wręcz przeciwnym, co denerwowało owych przywódców, ale nie zbijało ich z pantałyku.

W Genewie ów monolit poddany został próbie wytrzymałości. I cóż się okazało? Już po pierwszym dniu powstały rysy, a po kilku dniach z monolitu już śladu nie pozostało.

W czasie genewskiej konferencji ministrów spraw zagranicznych rozbieżności między wielkimi mocarstwami dały o sobie znać bardziej niż kiedykolwiek. To nie był podział ról — jak twierdzą niektórzy komentatorzy — to były rzeczywiste rozbieżności, które wynikły z różnej oceny sytuacji politycznej w świecie i z odmiennych interesów poszczególnych wielkich mocarstw.

Jak wiadomo przez szereg lat mocarstwa zachodnie nie chciały przystąpić do rozmów między Wschodem a Zachodem.

Odpowiedź na pytanie, dlaczego przystąpiły do nich dopiero w połowie roku 1959, kryje się nie tylko w konflikcie berlińskim, ale również w sytuacji wewnętrznej Stanów Zjednoczonych i W. Brytanii.

Oba kraje stoją przed wyborami. W Stanach Zjednoczonych zmierzą się ze sobą republikanie i demokraci, w W. Brytanii konserwatyści i labourzyści. Kolejne wybory uzupełniające do kongresu Stanów Zjednoczonych dały zdecydowaną przewagę demokratom. Republikanie stoją przed perspektywą potężnej klęski wyborczej. Chyba, że... Nie, nie mogą liczyć na cud, cuda w polityce raczej się nie zdarzają. Odwrócić widmo klęski od republikanów mogłyby tylko jakieś efektowne sukcesy na arenie międzynarodowej. I to jest powód, dla którego polityka amerykańska będzie w ciągu bieżącego roku bardziej elastyczna niż w latach minionych. Z tej racji delegacja Stanów Zjednoczonych zasiadła za stołem genewskich obrad.

A w W Brytanii jeszcze półtora roku temu zwycięstwo labourzystów w zbliżających się wyborach wydawało się absolutnie pewne. Dziś większe szanse na zwycięstwo mają już konserwatyści. Nazywają to cudem politycznym. Partia konserwatywna odrodziła się po ciężkiej sueskiej klęsce jak feniks z popiołu. Konserwatyści zawdzięczają to mądrej, przebiegłej polityce swego przywódcy Macmillana.

Macmillan zastosował mądrą taktykę. Wyjął labourzystom z ust ich chwytliwe hasła wyborcze uprzedził labourzystów. Sam stał się rzecznikiem porozumienia. Pojechał do Moskwy, opowiedział się za rozmowami na najwyższym szczeblu. Stał się symbolem odprężenia międzynarodowego. A więc w interesie zarówno Stanów Zjednoczonych jak i W. Brytanii leży w tej chwili pewne odprężenie międzynarodowe, lub choćby tylko stwarzanie pozorów, że się do tego porozumienia dąży.

Natomiast Niemcy Zachodnie i Francja od samego początku postawiły na fiasco genewskiej konferencji. Niemcom Zachodnim nie zależy w tej chwili ani na rokowaniach, ani na porozumieniu międzynarodowym.

Niemcy Zachodnie są na ostatnim wirażu. Na ostatnim zakręcie przed atomową metą. Zmierzają do niej od dziesięciu lat z uporem, z żelazną konsekwencją. A teraz, kiedy sukces w postaci broni atomowej dla Bundeswehry jest tak blisko, że tylko ręka sięgnąć — mają być rokowania międzynarodowe i być może porozumienie. Nie i nie — mówią politycy NRF. Za dwa lata będziemy rokować. Naszym atutem wówczas będzie broń atomowa. Przejęzyczyłem się, politycy NRF tak nie mówią, nie mogą tak mówić wobec światowej opinii publicznej, ale tak myślą, a co najważniejsze w tym kierunku działają.

Polityka Francji jest trudniejsza do rozszyfrowania, ale Francja występuje jako adwokat Niemiec Zachodnich. A zresztą de Gaulle również nie chce dzisiaj rokowań. Nie chce rokowań w chwili, kiedy prowadzi wojnę w Algierze, która niesłychanie osłabia pozycje Francji i nie chce rokowań z innymi mocarstwami, nie mając bomby atomowej. Bomba atomowa to swoista idee fix prezydenta Francji. Do pasji doprowadziły go wiadomości o tym, że w Genewie Herter, Gromyko i Lloyd bez francuskiego ministra dyskutowali o sprawach atomowych.

De Gaulle chce więc zasiąść do stołu obrad nie wcześniej jak za półtora roku. I dlatego postawił na fiasco Genewy.

Oto główne elementy owego monolitu, który nie jest monolitem. Oto motywy gry poszczególnych delegacji zachodnich w Genewie.

Sidonia Blasińska i Leon Niemczyk
Zdjęcie G. Puciato

G.B.S. w Teatrze Powszechnym

„Żołnierz i bohater" grany w Teatrze Powszechnym stanowi, mimo wszystko, dość przyjemny dowód, że do teatru można uczęszczać również w bardzo upalne dni.

Sześciu dobrych aktorów: (Sidonia Blasińska, Janina Łukowska, Halina Pawłowicz, Zbigniew Jabłoński, Leon Niemczyk, Mirosław Szonert) oraz jeden świetny (Feliks Żukowski) gra niezawodną, jeśli chodzi o powodzenie u publiczności, Bernarda Shawa, komedię o tym, jak mały przypadek tworzy pozory wielkiego bohaterstwa i o tym, że prymitywni ludzie spragnieni są romantycznych mitów, a już bez bohaterów wojennych nijak obejść się nie mogą.

Ale Shaw, burzyciel mitów i demaskator konwencjonalnych kłamstw pozostaje w tym spektaklu Teatru Powszechnego daleko w tyle za Shawem, demonstratorem zabawnych charakterów i wesołych sytuacji. Shawa trzeba szukać i można znaleźć przede wszystkim w dialogu. Ten jednak został, tak mi się zdaje, potraktowany tylko jako siła napędowa dla osiągnięcia zabawnych spięć, podczas gdy, ośmielam się wtrącić, sytuacja powinna być w tej komedii okazją dla uwydatnienia pointy ideowej. W ten oto sposób powstało małe nieporozumienie między sprawozdawcą a reżyserem: wybrałem się w odwiedziny do starego mędrca G. B. S., a trafiłem do operetki.

Zastanówmy się jednak; a może reżyser ma rację, schodząc z piętra, gdzie mieszka Shaw, na parter? Spróbujmy rozważyć racje reżysera.

W „Żołnierzu i bohaterze" cywilizacja handlowa XIX wieku (i to w jej najbardziej filisterskim, bo szwajcarskim wydaniu), stanowi coś w rodzaju szczytnego ideału w porównaniu z kulturą narodów południowo-słowiańskich. Wielki demaskator konwencjonalnych kłamstw staje się w tej komedii sam rzecznikiem perfidii, bo kłamstwa o niższości narodów bałkańskich. Ośmiesza ich historię (jako dzieje barbarzyńców, wśród których tylko wodzowie podpisać się potrafią, a nikt nie odczuwa potrzeby mycia rąk). A przecież w rzeczywistości historia tych narodów była pasmem podziwu godnych walk przeciwko przemocy tureckiej i kurateli niesłowiańskich mocarstw.

Więc decydujmy się, tak mógłby ktoś rozumować, na rewizjonizm w stosunku do Shawa. To *jest teza*, i do dyskusji i dla eksperymentu. A zatem nie celujmy, jak Shaw, w kraj słowiański, ale w jakieś nigdzie i wszędzie. Usuńmy pamflet z tej komedii.

Owszem, usuwamy.

Niestety, jednocześnie zatarty został podstawowy konflikt komedii — ten między żołnierzami (realizmem), a bohaterem (romantyzmem). Przyczyniła się do tego również obsada, zdumiewająco trafna, jeśli chodzi o żołnierza, lecz nie mniej zdumiewająco fałszywa, jeśli chodzi o bohatera. Chociaż nie udało się usunąć pamfletu, potrafiono z całych partii sztuki przepędzić Shawa. Bo, ośmielam się powtórzyć, Shawa szukać trzeba w dialogu, a nie w gagach, które on aktorom i reżyserowi podsuwa. W rzeczy samej: pozostała mówiona operetka.

Ale my lubimy operetki, nawet mówione i nawet w upalne dni.

*) Bernard Shaw: „Żołnierz i Bohater", komedia w 3 aktach; przełożył: Florian Sobienowski, reżyseria: Zbigniew Koczanowicz, scenografia: Antoni Bystroń.

LEOPOLD BECK

TADEUSZ ŻAKOWIECKI

ŻYZNA RZEKA NER

Rzeka Ner w Poddębicach Zdjęcie W. Machejko

HEJŻE! DO MAŁEGO MIASTECZKA! ODPRĘŻENIE, POWIETRZE, RUCH! ABY TYLKO NIE BYŁO JAKIEGO CUDU. LUDZIE, KTÓRZY WIDZIELI CUD, SĄ WYJĄTKOWO NIEPRZYJEMNI.

Poddębice, 3-tysięczne miasteczko powiatowe. A powiat młody, szczeniak zgoła, istnieje dopiero od czterech lat. Wykrojony z peryferii trzech innych powiatów i dwóch województw — obejmuje około 810 km kwadratowych, 54 tys. ludzi. Prowincja prowincji, jak ktoś powiedział.

Przedstawienie Teatru Ziemi Łódzkiej skończyło się o wpół do dziewiątej. Mieszkańcy miasteczka uśmiechali się z zażenowaniem. Nie można było w żaden sposób dobudzić pijanego mężczyzny, tutejszego rodaka. Bileterka już od dłuższego czasu potrącała go silnie za ramię. Ciągle siedział ze zwieszoną głową. Drugi z kolei spektakl miał się zaraz zacząć...

Przedstawienie Teatru Ziemi Łódzkiej skończyło się o wpół do dziewiątej. Ulice są już puste. Ci, którzy wyszli z teatru zaraz porozchodzili się do domów. Wracam i ja do „hotelu".

Od zachodu dmuchnął wietrzyk. Zaśmierdziało niesamowicie. Wiadomo, znad Neru. To właśnie ten jeden niepożytek z rzeki. Poza tym, w porządku. 80 kwintali siana z hektara! (gdzie indziej zbiory rzadko przekraczają 40).

Dla rolniczo-hodowlanego powiatu Ner jest Nilem. Chociaż także groźny i wylewający. Zdaje się przed dwoma laty widziałem. Woda stała w pasie chyba z kilometr szerokim, sterczały pojedyncze drzewka, kilka złamanych, wysepki zarośnięte trawą.

Jeden członek tutejszego prezydium przekonywał mnie:

— O nie, panie, teraz nic się nie wyleje. Ner już prawie uregulowany. Będzie nawet talwar, posadzi się drzewka, najlepiej lipy, może nie będzie tak cholernie śmierdziało...

— Kto tu może być najbiedniejszy?

— E, panie, a kto tu znowu taki bogaty! Pewnie, że kilkunastu ma własne samochody. A Tomczyk nawet dawał dziecku 100 złotych, jak mu się ładnie ukłoniło. Ja tam, panie, nikomu w garnki nie zaglądam. Ale tak na ogół, wszyscy biedni. Roboty mało.

Jednak padło kilka nazwisk. Tych, którym chyba najgorzej. Na przykład Michalakowie.

Idę do Michalaków. Ulica Konopnickiej. Ktoś zapytany, pokazuje — cztery bramy dalej. Nie, to jeszcze nie taka najgorsza rudera.

Dwie marne izby. Liche, stare meble, na ścianach zacieki. Cokolwiek brudnawo. Rodzina składa się z jedenastu osób.

„Kiepska pogoda, co?"

„Ale pożyteczna. Dla żyta, to i tak nie ma znaczenia. Za to ameryki — urodzą że ha!"

Michalaka w domu nie ma. A to „równy" chłop, bo i wypić lubi... ale zarobki co do grosza oddaje. Nic nie poradzi, że mało. Robota w GS-sie tysięcy nie daje: 700 złotych miesięcznie. Rodzinne go trochę ratuje. Razem z rodzinnym — 1.400 zł.

W gruncie rzeczy i tak nie wystarcza. Trzeba wyżywić dzieci. A dzieci akurat dziewięcioro. Trojga można nie liczyć, już dorośli, zarabiają na siebie.

Najstarszy syn długo nie mógł dostać pracy. Musiał wyemigrować do Łodzi.

Drugiemu się udało. Chociaż długo czekał ze swoimi kwalifikacjami zdobytymi na kursie, zaczepił się wreszcie w PZGS.

I córka nie może znaleźć pracy... („dzieckiem przecież ja mogę się opiekować„ — powiada Michalakowa)... Jest na utrzymaniu męża, który również musi pracować w Łodzi.

Pozostaje dzieci sześcioro. Na razie się jeszcze uczą. „Żywisz ich, żywisz, a potem pójdą gdzieś w świat, bo tu o zajęciu nie ma co mówić. I taki z nich pożytek..."

W ten sposób zetknąłem się z dwoma najbardziej palącymi poddębiczan problemami.

* * *

W Komitecie Miejskim powiadają, że wszystko na najlepszej drodze. Przecież to teren zaniedbany. Od kilkunastu lat nic się nie buduje. A budynki z gliny i z kamienia — trochę wody i wszystko się rozłazi.

Pewnie, że przed wojną było więcej mieszkańców. Ale ile Niemcy rozebrali rud, które szpeciły miasto? Sytuacja mieszkaniowa tak bardzo znów się nie pogorszyła.

Wiemy, że ciężko z otrzymaniem w Poddębicach pracy. Nadwyżka ludzi sięga cyfry 2,5 tysiąca. Robimy, co możemy. Woj. RN obiecuje nam pomóc. Na razie kończy się na deklarowaniu pomocy.

Może w czasie trwania poprzedniej kadencji Rady sprawy nie były dość solidnie załatwiane? Może i w tej chwili Rada jest za mało zdecydowana? Gdy chodzi na przykład o te place pod indywidualne budownictwo... Zresztą idźcie, towarzyszu, do Prezydium. Oni powiedzą wam o wszystkim dokładnie.

W Prezydium leży 300 podań o mieszkania. Z okien widać dwa dopiero co wybuwane bloki na 36 rodzin. Jeszcze dobrze mury nie przeschły.

Jak się uda — informuje sekretarz Ząbroń — w ciągu najbliższych 6 lat stanie dalsze 8 bloków. Załatwi się wtedy prawie 150 podań. Problemu mieszkaniowego jeszcze to nie rozwiąże. Próbujemy więc jakoś rozruszać budownictwo indywidualne.

Uporządkowano już działki budowlane. Zamierza się przydzielać je na raty i jednocześnie udzielać długoterminowej pożyczki. Nie rozumiem tylko, dlaczego „zamierza", a jeszcze nie przydziela. Przecież jest już 52 chętnych, złożyli — oficjalne podania.

Ano, są tam jakieś trudności. A w ogóle, w Prezydium jest mnóstwo jeszcze innych problemów. Bo i projekt skanalizowania Poddębic, wybudowania łaźni miejskiej. A wiążą się z tym poważne trudności: brak wody.

No tak — myślę sobie — 8 bloków, przeszło 50 domków jednorodzinnych...

Michalakowie dostaną może za lat 5 wygodne, suche mieszkanie i to z łazienką. Ale z czego żyć będą? Gdzie będą pracować ich dzieci, które do tego czasu skończą szkołę, staną się dorosłymi?

Boję się, że trochę za mało mówi się w Poddębicach o rozbudowaniu przemysłu. A w Wojewódzkiej Radzie Narodowej w Łodzi za mało się myśli o popieraniu nowego powiatu.

Przetwórnia Owocowo-Warzywnicza w „Krępie" (12 kilometrów od Poddębic) potrzebuje jeszcze 15 milionów złotych, aby mogła ruszyć. A to już stałe zatrudnienie dla blisko 100 osób.

Poza tym, istnieje koncepcja wybudowania Przetwórni Mięsnej, jednak na razie mocno niewyraźna. Chociaż teren wymarzony, jako że okolice obfitują w dobre pastwiska. Już w tej chwili widać świetne rezultaty gospodarki hodowlanej.

* * *

W tym, o czym mówił sekretarz Ząbroń z Prezydium, nie podobało mi się szczególnie jedno. Ale może inaczej...

„Czynem społecznym" buduje się w Poddębicach jeden obiekt spod znaku kultury fizycznej czyli basen i jeden obiekt spod znaku kultury umysłowej czyli szkołę (właściwie — rozbudowuje). Dotąd w porządku, jeden do jednego.

Natomiast za pieniądze „państwowe" buduje się tylko obiekt sportowy — stadion. Piękny będzie stadion, leci na to dwa i pół miliona. Dopiero się poddębiczanie wykrzyczą...

Pytam, co słychać z jakimś domem kultury. „To kwestia bardziej odległa — powiedziano tak właśnie — ale plac już przygotowany..."

* * *

O zainteresowaniach kulturalnych mieszkańców Poddębic miałem dobre wyobrażenie natychmiast po przyjeździe.

Pytam w jednym kiosku „Ruchu", pytam w drugim: ile sprzedajecie „Życia Literackiego", „Nowej Kultury" wreszcie — ile „Odgłosów"?

W tym największym, dużym sklepie niemal idą 4 „Nowe Kultury", 6 egzemplarzy „Życia", a „Odgłosów" — aż 15, wszystkie, które im przysyłają.

W innych kioskach aż tak dobrze nie jest. Ale po jednym, po dwa — zbierze się ładna cyferka, piękna cyferka jak na 3-tysięczne prowincjonalne miasteczko.

Natychmiast po przyjeździe do Poddębic rzucają się w oczy plakaty Teatru Ziemi Łódzkiej. Plakaty nowe, stare i całkiem stare. Już po tym widać, że Teatr bywa tu często.

Teatr Ziemi Łódzkiej jest przez tutejszą opinię wysoko oceniany. „Ci z Poznania mogą mieć klapę i „Estrada" może, TZŁ — nie".

Za kulisami aktorzy i aktorki. Znają tę publiczność, są z niej zadowoleni. Zadowoleni są również z sali, nawet z garderoby.

Sala kinoteatru wysoka, jasna, na 240 miejsc. „Zmieści się tu, panie, dużo więcej, tylko straż nie pozwala". Sala była niedawno odnawiana. „Malowaliśmy prywatnie, kosztowało 16 tysięcy. Obicie boazerią kosztowało 20 tysięcy — a dlatego że wykonawcą była spółdzielnia..."

Bibliotekę tutejszą prowadzi mgr Jóźwiak, absolwent Uniwersytetu Łódzkiego. Księgozbiór nie taki wielki, 7.500 tomów, ale czytelnicy — aż miło. „Komu bije dzwon" sam bibliotekarz nie może przeczytać, taka kolejka.

— Proszę sobie wyobrazić, tutejsza młodzież czyta chętnie Różewicza. Ostatnio jeszcze Jasnorzewską. A to dlatego że mówiła o niej niedawno Pogonowska...

— A co tu robiła Pogonowska?...

— Jak to co, miała spotkanie z czytelnikami. No gdzie? Pewnie, że w szkole.

SĄ PROROCY W NASZYM KRAJU

(Dokończenie ze str. 3)

dy wyjeżdżam na „społeczną drogę", licznik pokazuje dziewięćdziesiąt. Wóz leci równo, bez drgań, nawierzchnia gładka, nośna. Robię zakręt pętlą, znów na szosę. Spotykam ludzi.

— Jaka tu wprzód była droga? — pytam.

— Dobra była — śmieje się Jan Wawrzonek. — Tak dobra, że nawet rowerem trudno było przejechać. Wiosną i jesienią stawy się na środku robiły, że ryby łowić.

— I trzeba było — powiada któraś z kobiet — pieszo chodzić, czy lato, czy zima. Ślisko, ciemno, wiatr taki przez pola ciągnął, że aż strach.

— A teraz?

— Teraz niech tylko autobus puszczą. Już my o drogę zadbamy, niech nikogo głowa nie boli...

— Jakbyśmy umieli, to byśmy i autobus sami zbudowali — powiada pan Prorok.

Ano cóż. Będzie i autobus, będzie. Wydział Komunikacji przyrzekł, że z pierwszej partii autobusów, jaka przyjdzie do Łodzi, wydzieli wóz dla budowniczych nowej drogi, dla „proroków", jak ich żartobliwie nazwaliśmy. Zapewniam wszystkich, że po tej drodze, na której nawet licha „petka" dobrze się czuje, autobus będzie mógł chodzić sto lat bez remontu!

Wracam do miasta, i tak sobie myślę. Państwo ma tyle ciężkich zadań: budować nowe bloki mieszkalne, budować kombinaty przemysłowe, budować miasta. Te maleńkie dokuczliwe sprawy mijają niezauważone, a tylko nas bolą, zwykłych, codziennych ludzi. Odkąd to już stoją nowe bloki na przykład na Osiedlu Wierzbowa! I dotąd gruz przed domami, wyboje, śmieci. Tylko mieszkańcy jednego bloku zakasali rękawy: położyli chodnik, urządzili zieleniec, posadzili kwiaty. Wiele trudu, co tu mówić, ich to nie kosztowało, co innego zbudować drogę. Ale tu nie chodzi o trud — chodzi o chęć dopomożenia państwu w jego trudnej robocie, chodzi o osobiste każdego z nas zainteresowanie w sprawę uprzyjemnienia, ułatwienia życia.

Kiedyż wreszcie nauczymy się myśleć *o wszystkim* nie z pozycji gości hotelowych, a z pozycji rzeczywistych gospodarzy, rozumiejących trudności, w jakie obfituje nasz dzień, i umiejących je zwalczać!

ANDRZEJ BRYCHT

DOM pod „USKRZYDLONĄ SZKAPĄ"

— ...Ostatnio to te kury chyba powariowały. Wyrywają sobie pióra i zjadają je. Co to może być, panie doktorze.
— Brak soli mineralnych. Proszę podawać...
Korpulentna jejmość wychodzi z gabinetu.
— Proszę, kto następny?

Następny pacjent siada i grzecznie podaje łapę, uporczywie siąkając przez cały czas nosem.

— Panie doktorze, co on tak kaszle? — właściciel pięknego wyżła jest wyraźnie zaniepokojony.

— Zaraz zbadamy. Jak on się wabi? —

— Nero.

— Ner, hop... tak, mądry pies... Zaraz zmierzymy temperaturę... Pokaż no gardło... Tak... Mądry pies...

Sprawne ręce lekarza dokładnie badają ciało psa.

— Silne zaziębienie, angina — pada diagnoza. Musi pan teraz na niego bardzo uważać, bo to krótkowłosy pies i łatwo o zapalenie płuc.

Nagle Nero zaczął się wyraźnie niepokoić. Zrozumiałe. Na sąsiednim stole pod fachową opieką odbywa się poród z komplikacjami u pręgowatej kotki.

Nie trzeba chyba mówić gdzie się znajdujemy: starsze pokolenie łodzian od razu ma na myśli klinikę Warikowa, a młodsze — Państwowy Zakład Leczniczy dla Zwierząt przy ul. Kopernika 22.

DOM „z konisiem jak mówią dzieci, czy też DOM „z uskrzydloną szkapą" — jak powiada Tuwim — powstał w roku 1898 i jest nierozłącznie związany z panoramą Łodzi. Jest to już obecnie budynek podlegający ochronie na zasadach zabytków, ale choć patynę czasu widać z zewnątrz jak i wewnątrz, ruch panuje tu wielki.

Codziennie dziesiątki czworonożnych pacjentów leczy tu swe nieraz bardzo skomplikowane schorzenia przewodu pokarmowego, egzemy i silne awitaminozy wynikające z jednostronnego odżywiania zwierząt, anginy, zapalenia płuc, bronchity i kulawizny. Tutaj odbywają się kuracje odtłuszczające, ciężkie porody i cesarskie cięcia.

W poczekalni Lecznicy Weterynaryjnej można spotkać obok siebie: ptaki z połamanymi skrzydłami, kury ze sprawami porodowymi (okazuje się, że jajko nieraz bardzo trudno znieść, więc nie dziwmy się ich cenie w sklepie), małpkę i kanarka z bronchitem, psa z bolącym zębem do usunięcia. W podwórzu czekają konie z bolesnymi kulawiznami i piękne, „służbowe" owczarki alzackie na szczepienia ochronne przeciwko nosówce i wściekliźnie. Zdarzają się też rybki i pszczoły, ale te obawiając się zamieszania jakie mogłyby wywołać, delegują swych hodowców.

Wprawdzie Łódź nie może tak jak Warszawa pochwalić się pogotowiem weterynaryjnym, ale nasza lecznica spełnia w zasadzie to zadanie: jest czynna całą dobę, a jeśli zdarzy się wypadek na ulicy lub nagle zachoruje duże zwierzę, jedzie się do niego natychmiast.

Patrząc na spokój i oddanie zwierząt, którym lekarze zadają konieczny ból, zastanawia się człowiek „czy one rozumieją, że to dla nich dobre, czy co?". Myślę, że tak. Bo wyobraźcie sobie...

Diana jest apatyczna i smutna. Kilka tygodni temu została pierwszy raz matką i po kilku dniach... zagryzła swoje szczeniaki. Wstrząśnięta tym wydarzeniem właścicielka suki, postanowiła się jej pozbyć i odprowadziła ją do Lecznicy „na uśpienie". Kierownikowi zakładu zrobiło się żal suki. Zbadał ją dokładnie i stwierdził, że niedobory witaminowe i mineralne w organiźmie psa, doprowadziły do szoku, który w połączeniu z bólem kąsanych sutek spowodował zagryzienie szczeniąt. Diana była chora. Nie uśpiono jej.

Teraz kiedy lekarz opatruje sukę — ta ufnie patrzy mu w oczy.

Kiedy lekarz telefonicznie ustalał z żoną fakt oddania suki staremu właścicielowi Diana (słowo daję! — to prawda!) odciągała go łapami i zębami od telefonu. No i nie wydano jej. Sprawiała wrażenie bardzo szczęśliwej.

Za przykład tego, że psy potrafią ocenić pracę lekarzy może posłużyć następujące wydarzenie:

Pewnego psa, nie wiem jak go wabiono, wyleczono z ciężkiego schorzenia przy pomocy bardzo bolesnych zabiegów. Przebywał on długi czas w klinice weterynaryjnej. Po wyzdrowieniu ekspacjent dzień w dzień przychodzi na krótkie „powarczenie" do kliniki. Pamięć? Wdzięczność?

Zdarza się, że do Lecznicy przyprowadza się zdrowe, młode, piękne psy na uśpienie, gdyż ich właściciele nie wiedzą, co z nimi zrobić. Diana znalazła opiekę, ale inne...

Dobrze byłoby założyć w wielkim mieście jak Łódź, azyl dla psów. Powinniśmy wziąć przykład z Katowic. Tam na krańcach wielkiego, miejskiego parku ogrodzono siatką wydzielony kawałek ziemi. Zbudowano specjalne pomieszczenia dla psów i wybieg. Jedna z restauracji daje odpadki na wyżywienie pensjonariuszy. Tutaj przyprowadza się wszelkie bezpańskie i niepotrzebne psy.

Ciekawym zjawiskiem jest fakt, że jakkolwiek do azylu przyprowadza się wiele psów jest ich tu mało, gdyż mieszkańcy miasta, a nawet okoliczni chłopi często odwiedzają psi sierociniec i zwierzęta które im się podobają, zabierają do siebie. A więc czekamy na azyl dla psów! Jest to piękne pole do popisu dla Związku Kynologicznego i harcerzy.

Tekst: DANUTA TARCZYŃSKA

Zdjęcia: GERARD PUCIATO

Bokser „Leda" podejrzany jest o przykrą chorobę — nosówkę

Koń na skutek wadliwego kucia — „zagnożdżony" gwóźdź zamiast w róg wbił się w tworzywo

KRYPTONIM »GRUBA«

Dalszy ciąg z poprzedniego nr.

Prawdziwe śledztwo nie wygląda tak efektownie jak to często przedstawiają autorzy powieści kryminalnych — rezultaty powstają w wyniku drobiazgowej, żmudnej pracy wielu ludzi. Sukcesy nie są zasługą jednego człowieka lecz całego zespołu.

Ta mrówcza praca nie jest sensacyjna. Wspominamy o niej jedynie z obowiązku kronikarskiego.

Cóż „bombowego" można znaleźć w codziennych, można by rzec, gospodarskich rozmowach dzielnicowego z ludźmi na podległym mu terenie. Wysłuchuje opowiadań o mniejszych i większych kłopotach, łagodzi spory sąsiedzkie, rodzinne, małżeńskie, opiekuje się nieletnimi, interweniuje... Czasem wyłoni się z tego jakiś rodzynek.

Gdzież tu sensacja w systematycznej kontroli melin pijackich, mieszkań prostytutek, gdzie można tylko usłyszeć wiele brudnych słów, i zobaczyć najbardziej prymitywne formy ludzkiego współżycia. Milicjanci znają swoich podopiecznych i dlatego zwraca ich uwagę fakt, że jakiś tam szczeniaczek ma nowy płaszcz... Czy rozebrał pijanego na przystanku podmiejskich linii, czy kupił od złodzieja, a może dokonał innego przestępstwa?

Dzielnicowy z Bałut od kilku dni nie spotkał notorycznego chuligana i złodziejaszka. Nikt nie wie, co się z nim stało. Czyżby wyjechał? Może szykuje jakiś nowy „skok", a może znudziła mu się ciągła opieka i zmienił teren... Trzeba się zastanowić...

Okresowe analizy zebranego materiału pozwalają na wysnuwanie wniosków, wskazują metody i środki ich sprawdzenia.

Trudno powiedzieć, czy śledztwo zbliża się ku końcowi czy też wszystko zrobione dotychczas było syzyfową pracą. Pracownicy są zmęczeni, chętnie rzuciliby całą sprawę i uciekli na koniec świata.

Mają oni swoje życie prywatne, swoje kłopoty i radości. Trzeba kupić firanki, znieść węgiel do piwnicy, syn wybił sąsiadom szybę w oknie, córka ma słabe stopnie z matematyki... — nie to wszystko nie powinno mieć wpływu na prowadzone śledztwo.

Milicjant jest niewyspany, albo boli go głowa — to nie

Napisał: Edmond Hamilton

SKARB NA OBERONIE

Przełożył: A. Ostoja

— 25 —

Statek kosmiczny „Meteor" wyruszył na Oberona, księżyc Uranu, w celu zdobycia bezcennego pierwiastka, zwanego levium. — W ślad za „Meteorem" podążył pościg wszechwładnej kompanii, również dążącej do zdobycia levium. Przybywszy na drugiego satelitę Uranu — Tytanię, załoga statku udała się do Księżycowego Miasta, gdzie od znanego aferzysty, Charlesa Berdota, wypożyczyła sprzęt antytermiczny, niezbędny przy lądowaniu na Oberonie. Po powrocie na pokład „Meteora" astronauci zostali sterroryzowani przez Berdota i jego ludzi...

Nasz czas nadejdzie, gdy wylądujemy na Gromowym Księżycu.

Ciężkie aparaty zaczęły pulsować. Wokół rakiety ukazała się niebieskawa aureola. To była energia neutralizująca wysoką temperaturę.

Księżyc Gromowy zasłaniał teraz swoją zamgloną, buraczaną tarczą połowę nieba. Dostrzegli już jego atmosferę przeszytą purpurowymi błyskawicami i językami płomieni. Nort przejął stery od Dorana. W myśli powtarzał instrukcję Torna Lourelle'a: „Złoża levium w zachodnim z trzech wzgórz wulkanicznych wznoszących się z Płomiennego Oceanu. Lądowanie możliwe jedynie na bazaltowym płaskowzgórzu w pobliżu południowej zatoki na południowym brzegu..."

Zbliżali się do Płomiennego Oceanu Księżyca Gromowego. Nort mocno przyciągnął dźwignię włączając dysze boczne i kilowe, aby skręcić na południe. Wściekłe prądy atmosferyczne nad tym morzem płynnego kamienia ciskały „Mteorem", jak burza liściem.

Nort z wysiłkiem obrócił statek przyciskając pedały cyklotronów do samej podłogi. „Meteor" odważnie skoczył naprzód torując sobie drogę na południe. Daleko na zachodzie Nort dojrzał trzy ostre, wulkaniczne wzgórza, jak czarne wieże wznoszące się na czerwonej lawie.

— Oto one, trzy kratery! — wrzasnął Charles Berdot.

Żaden statek nie mógłby lądować na urwistych stokach tych ogromnych iglic. Nort zrozumiał to od razu i poprowadził „Meteora" do dalekiego, południowego brzegu Płomiennego Oceanu.

— Niech pan szuka podłużnej zatoki — rozkazał Berdot.

Południowy brzeg Oceanu pędził im na spotkanie.

Oczy Norta rozpaczliwie obiegały brzegi kontynentu, lecz nigdzie nie mogły dostrzec podłużnej zatoki. Nacisnął na dźwignię, aby skręcić na zachód, wzdłuż brzegu ognistego oceanu, lecz ryczące potoki dymu gwałtownie podrzuciły „Meteor" do góry i odrzut bocznych dysz wytrącił go z kierunku lotu.

Grzmiący, nieustanny ryk zagłuszał wszystko. Nort czynił nieludzkie wysiłki aby wyprostować nurkujący statek. Dopiero na niebezpiecznie małej wysokości udało mu się poprowadzić rakietę na zachód.

— Tam, tam zatoka! — krzyknął Berdot wskazując ręką — Ale gdzie jest u diabła, bazaltowe płaskowzgórze?

Nort skierował statek w skłębione chmury dymu na dole. Tam, w odległości mili od morza ogniowego czerniała lekko wznosząca się platforma bazaltowa.

— Oto ona — krzyknął.

Gorączkowo przełączył całą energię cyklotronów na kilowe dysze. Pchnięcie od dołu na chwilę zabezpieczyło statek przed utratą wysokości. Ręce Norta szarpnęły drążek sterowy z niezwykłą szybkością; w ciągu ułamków sekundy noga nacisnęła, zwolniła i znów nacisnęła pedał.

— 26 —

Statek od szaleńczych uderzeń wybuchów rakietowych stanął dęba, obrócił się i zachybotał na statecznikach i bocznych dyszach. Zajął pozycję pionową nad bazaltową platformą i zaczął opuszczać się powoli na ognistych słupach dysz kilowych. Silny wstrząs, zgrzyt metalu — i wylądowali.

Odpinając pasy zabezpieczające Nort poczuł znużenie. Aby dokonać tego niebezpiecznego lądowania, musiał zdobyć się na maksymalny wysiłek.

Pasażerowie głównej kajuty nie odrywali oczu od iluminatorów. Statek co chwila podskakiwał od strasznych uderzeń piorunów, a temperatura wewnątrz wzrastała mimo ochronnej aureoli antytermitów.

— To było niezwykłe lądowanie, Nort! — z gorącym zachwytem powiedział młody Sydney. — Cóż za czarodziej uczył pana sztuki pilotażu?

— Uczył mnie największy pilot, jaki kiedykolwiek latał w Kosmosie — odrzekł. Nort. — Oto on, a raczej to, co z niego zostało.

I wskazał głową na Stenny'ego, który siedział spoglądając z dziecinnym podziwem na zasnuty dymem krajobraz.

W drzwiach kajuty ukazał się Charles Berdot. Connor drgnął; potężna twarz Wayty Johnesa skamieniała. Spojrzenie czarnych oczu aferzysty oziębłe przemknęło po ich groźnych twarzach. Odezwał się ostro:

— Ten świat jest niebezpieczny i im prędzej go opuścimy, tym lepiej dla nas. Pomóżcie mi, a obiecuję oddać wam dziesiątą część levium, gdy powrócimy.

Nort zastanawiał się. W mózgu jego powstał szalony pomysł. Jeśli tylko znajdzie odpowiedni moment...

— Dalsza dyskusja nic nam nie pomoże, chłopcy — powiedział powoli do swych kolegów. — Oni zwyciężyli. Nie mamy innego wyboru, tylko przyjąć to, co nam proponują.

dalszy ciąg nastąpi

---

ma nic do rzeczy. Społeczeństwo czeka na schwytanie sprawców napadu — społeczeństwo domaga się tego. Społeczeństwo dało pensje i uprawnienia — a teraz domaga się wyników pracy.

Grupa operacyjna opracowuje swoją wersję, której podstawą jest założenie, iż dozorca posesji, Urbańczyk, był powiązany ze sprawcami napadu.

W przełożeniu na język milicyjny — to dziesiątki nowych rozmów i wywiadów.

Wreszcie zebrano kilkanaście fotografii ludzi, których znał Urbańczyk. Wyłożono je wszystkie na stół i jeszcze raz poproszono do komendy woźnego K.

Pracownicy grupy operacyjnej czekają z natężeniem. Czy ich trud okaże się daremny?

Stary woźny z natężeniem przygląda się fotografiom i odkłada na bok jedną po drugiej. Nagle na jego twarzy maluje się zaskoczenie i zdziwienie:

— To przecież on, ten który mnie wiązał.

— Nie myli się pan, jak poprzednio? Proszę sobie dobrze przypomnieć.

— Na pewno nie, wierzcie mi — teraz się nie mylę mówi gorączkowo Jan K.

Grupa operacyjna pochyliła się nad zdjęciem Mariana Gwardy.

Odnaleziono więc jednego członka bandy. Woźny nikogo więcej nie widział, ale słyszał, że sprawców było trzech. Do tego trzeba doliczyć jeszcze jednego „na lipku". A więc banda składająca się co najmniej z czterech ludzi.

Okazało się, że Gwardy nie ma w Łodzi. Wyjechał w Opoczyńskie, do rodziny.

Ustalono kto był jego najbliższym kolegą. To Salomon. Razem z nim Gwarda pokątnie handlował na Zielonym Rynku. Ustalono także nazwiska ludzi, którzy bliżej znali Gwardę. Brak było jednak materiałów, świadczących o ich udziale w napadzie.

Wykorzystując dogodną sytuację operacyjną, pobyt Gwardy w okolicach Opoczna — uzyskano od prokuratora nakaz aresztowania go. Trzeba było zatrzymać ujawnionych członków bandy, zanim zorientują się że milicja wpadła na ich ślad.

Do Opoczna delegowanych zostaje trzech pracowników z zadaniem zatrzymania Gwardy. Po przybyciu na miejsce rozlokowali się na posterunku międzygromadzkim w Podklasztorzu. Przede wszystkim należało upewnić się, gdzie przebywa poszukiwany. W grę wchodziło kilka sąsiednich wiosek, gdyż Gwarda liczną miał rodzinę i znajomych. Rozpoczęto pracę przy pomocy miejscowych milicjantów i ormowców.

Podklasztorze to biedna wioska. Nie ma tu gospody, a miejscowi chłopi niewiele mieli do sprzedania — toteż pobyt tutaj nie był dla milicjantów zbyt przyjemny. Kierowca całymi dniami zbierał grzyby, żona miejscowego milicjanta gotowała je. Do tego dochodziły jeszcze ziemniaki z solą.

Wreszcie przystąpiono do akcji. Zatrzymano Gwardę na polu i odprowadzono do samochodu. Popełniono przy tym drobny błąd — wóz stanął pod lasem zamiast wjechać między drzewa. Wsiadającego do wozu Gwardę zobaczyła matka...

Zawieziono go do Opoczna.

— No, panie Gwarda koniec zabawy. Salomon wszystko nam powiedział...

— Salomon też siedzi?

— Tak, nie tylko on.

Gwarda jest przygnębiony.

— Od razu wiedziałem, że z tymi gówniarzami...

— Gdzie są pieniądze?

Gwarda milczy.

— Będzie lepiej, jeśli pieniądze się znajdą... Kilka minut zastanawia się i wreszcie podejmuje decyzję.

— W mieszkaniu matki, koło progu, jest wyjmowana deska...

Wóz skacze po wybojach. Jadą w kierunku Podklasztorza.

Wszystko się zgadza — deska, otwór pod nią, tylko pieniędzy już nie ma. W sianie wygniecione prostokątne wgłębienie — jeszcze niedawno tu były. Kto je zabrał? Siostra albo matka. Rozpoczynają się długie pertraktacje. Gwarda namawia matkę, aby oddała gotówkę, gdyż będzie lepiej dla niego. Wreszcie matka ulega i wychodzi na pole. Pod miedzą schowała 74 tysiące.

To była „dola" Mariana Gwardy.

Wóz pędzi do Łodzi.

Następnego dnia aresztowani zostają pozostali uczestnicy napadu — Jerzy Salomon — robotnik z Pabianic i dozorca Urbańczyk.

Pracownicy udają się do mieszkania Zalepy, u którego dokonywano podziału łupu. Od napadu minęły cztery tygodnie. Przez ten cały czas Zalepa niemal nie wychodził z domu, przepijając swoją część. Z 20 tys. złotych zostało mu tylko 4.000. W mieszkaniu stosy pustych butelek, pudełek od konserw, słoików i odpadków.

Trzeźwieje w areszcie.

Na wolności pozostał ostatni członek bandy. Nazywa się Garczarek. Nikt nie wie gdzie mieszka, nigdzie nie jest meldowany. Ustalono kilka adresów mieszkań, które czasami odwiedza i zorganizowano tam zasadzki.

W mieszkaniu przyjaciółki Garczarka siedział plutonowy J. Dochodziła północ.

Plutonowy od niedawna pracował w milicji. Był zmęczony całodziennym pilnowaniem. Chętnie by się zdrzemnął, ale to niebezpiecznie. Przestępca ma pistolet, ten sam, którym sterroryzowano woźnego K.

Plutonowy walczy ze snem, powieki same mu się zamykają. Nagle słyszy stukanie. Zrywa się, wyciąga pistolet i otwiera drzwi.

Na progu staje Garczarek. Jest zaskoczony widokiem milicjanta, ale to trwa ułamek sekundy. Momentalnie zawraca i pędzi po schodach w dół. Plutonowy biegnie za nim. Wypadli na ulicę. Garczarek biegnie w stronę Bałuckiego Rynku. Odległość stopniowo powiększa się.

Plutonowy strzela w górę raz i drugi, ale tamten nie zważa na nic. Obniża więc lufę pistoletu i oddaje jeden, jedyny strzał w stronę uciekającego. Plutonowy na strzelnicy nigdy nie trafiał do tarczy, a tutaj, w biegu, na nieoświetlonej ulicy, z odległości prawie 100 metrów trafił Garczarka prosto w serce. Po prostu przypadek...

Dopiero później okazało się, że do sterroryzowania woźnego K. banda użyła straszaka. Ale o tym plutonowy nie wiedział. Działał w przekonaniu, że tamtem też mógł użyć broni...

Urbańczyk pochodził ze wsi. Przyjechał do Łodzi, pracował przez jakiś czas przy robotach kanalizacyjnych, a później objął posadę dozorcy. Koniecznie chciał dokupić ziemi i być gospodarzem z prawdziwego zdarzenia, ale nie było gotówki. Wtedy w jego umyśle powstał pewien plan. W tym czasie poznał Gwardę. Po wielu rozmowach wysunął projekt zrabowania pieniędzy z Wydziału Zdrowia. Znał warunki lokalowe, wiedział że kasa jest słaba, że pilnuje jej stary woźny...

Tamten zgodził się, ale trzeba było dobrać kompanów i przygotować teren.

Przygotowania trwały dziewięć miesięcy. Przez ten czas dorobiono klucze do drzwi, dopasowywano grubość piłek do cięcia metalu, oliwiono drzwi, rozdzielano funkcje. Wreszcie Urbańczyk zawiadomił Gwardę, że „skok" należy zrobić w dniu 31 sierpnia 1956 r. bo wtedy w kasie będą pieniądze przeznaczone na wypłaty dla pracowników. Jednocześnie Urbańczyk zabezpieczył sobie uzyskanie części zrabowanych pieniędzy, chociaż nie mógł brać udziału w napadzie, aby nie zwrócić na siebie żadnych podejrzeń.

Po południu cała banda spotkała się na Marysinie, skąd wyruszono na ulicę Rudzką.

Garczarek na korytarzu poprzecinał przewody telefoniczne, a Gwarda z Salomonem weszli do pomieszczeń biurowych, gdzie woźny K. szykował sobie kolację.

Według oceny fachowców — przygotowanie i przeprowadzenie napadu było dosyć sprytne, szczególnie jeśli chodzi o technikę prucia kasy. Wykorzystano słabą budowę szaf tego typu i piłowanie nie zajęło im dużo czasu.

Natomiast przestępcy okazali się naiwnymi jeśli chodzi o przygotowanie alibi. Fantazja zawiodła ich całkowicie i dlatego tą część śledztwa była stosunkowo łatwa.

W wyniku pracy aparatu milicyjnego odzyskano ponad połowę zrabowanej sumy w gotówce, oraz zakwestionowano szereg przedmiotów zakupionych za pieniądze pochodzące z przestępstwa, np. zegarki, radia, pelisy, meble itp.

W śledztwie wyszło także na jaw, że Urbańczyk już pertraktował o kupno 4 hektarów ziemi, a Gwarda chciał oszukać kompanów i odłożył sobie 40 tysięcy na miejscu przestępstwa, nie włączając tej sumy do ogólnego podziału.

Epilog:

Sąd wziął pod uwagę szkodliwość społeczną rabunku i wydał następujące wyroki:

Gwarda — 7 lat, Urbańczyk — 6, Salomon — 5 i Zalepa — 3 lata więzienia.

KONIEC

JULIUSZ JANCZUR
i HENRYK WALENDA

Wydaje mi się niezbędne poinformowanie czytelnika „Odgłosów", że cała moja powieść rozgrywa się w orbicie świadomości głównego bohatera. Bohater jest narratorem i współuczestnikiem wydarzeń, a zarazem komentatorem.

Wobec tego oświadczam stanowczo, że nie ponoszę żadnej odpowiedzialności za czyny i myśli mojego bohatera.

AUTOR

JERZY WALEŃCZYK

Dobranoc Maryla, dobranoc

FRAGMENT POWIEŚCI

Szukałem samotności pośród nic nie znaczących rozmów. To szare miasto dawało mi scenerię nie zamierzoną lecz celną. Godziłem się na rozpacz, zasmakowałem w niej, przyswoiłem ją sobie tak, że stawała się moją siłą, nawet zaczynałem sobie kpić z niej, przykutej do mojej bezsilności, posłusznej i słodkiej.

Dokąd miałem adresować swoje kroki, dokąd? Nie mogłem daleko zajść. Musiała się pojawić inna dziewczyna. To takie urocze w swojej prostocie. Tak. Inna musiała dopełnić to, co nie było dopełnione, dopowiedzieć to, co nie było dopowiedziane. Dziwne, a raczej nie — bo cóż w tym dziwnego, była biegunem Maryli. Szatynka czy brunetka, z doskonale rozwiniętym biustem, z ciemną karnacją ciała, osiemnastoletnia, w szlafroku w kwiaty... zaraz, zaraz, jakie to były kwiaty, pamiętam tylko dwie barwy czerwoną i czarną, może była tam również żółta.

Mój Boże! Miała włosy o jakich dawniej marzyłem, marzenia minione pozostają marzeniami nie urzeczywistnionymi, a kiedy się urzeczywistniają dają trochę satysfakcji, tę odrobinę satysfakcji, jaka nam jest niezbędna do życia, przywracająca wskazaną ze wszech miar równowagę i spokój. Głupia historia. Złapałem się w tej chwili na tym, że nie pamiętam jej imienia. Już wiem, Hanka, oczywiście Hanka. I miała, jak już powiedziałem, ciemną karnację skóry. Pamiętam, kwiaty jej szlafroka rosły, były żywe, tak, mógłbym na to przysiąc. Na pewno były żywe. Aha, jeszcze ten zegar po jakiejś zabawie, gdzieś pośród zatartych twarzy, krok-zegara filuterny, noc rozdarta światłem okien z naprzeciwka. „Oni tam wcześnie wstają, wychodzą do pracy na szóstą" — powiedziała.

Hanka była dziewczyną interesującą. Gustowałem w niej dlatego, że była dziewczyną z przedmieścia. Było łatwiej. Tak, łatwiej mi było się dogadać. Dziewczyny z przedmieść są piękne i użyteczne. „Kwiat na śmietniku" — nazwałem ją w myślach. Nie wiedziała o tym.

Zaraz, zaraz istotnie byłbym zapomniał dodać, Hanka, to moja pierwsza zdrada małżeńska. Ach, ta potworna brama jej podwórka. Przez środek przebiega rynsztok, zamaskowany połamanymi deskami. Ściany okryte palami, na podwórzu żelazna pompa, zamarznięta wokół niej kałuża, dalej ustępy zbiorowe, każdy ma własny klucz, trzeba dzielić się z sąsiadami, niech pan zaczeka, zaraz skończę. To dzielnica wędrownych fotografów ofiarujących swoje usługi młodym i starym. Taka fotografia Hanki stała na jej tremo, ona, z włosami zakręconymi we francuskie loki, upozowana na fotelu, którego pochodzenia nie mogłem zidentyfikować, zdaje się, że to jakiś fotel pożydowski, tu było getto, coś niecoś zostało. To dzielnica prywatnych chałupników, tkaczy z jednym warsztatem w komórce o cementowej podłodze. Jacy to pracowici ludzie! Znałem jednego z nich. Skakał jak małpa na drzewie po swoim warsztacie, uśmiechnięty, żona mu skręcała wełnę w kłębki, unosił się zapach owczego potu. To dzielnica przedsiębiorców odpustowego przemysłu.

Nie pogardzałem nią, awansowała szczególnie w moich oczach, kiedy się dowiedziałem, że tu miał kochankę jeden z zasłużonych dla polskiego ruchu lewicowego, znany na forum międzynarodowym działacz. To jednak podnosi na duchu. Errare humanum est — mówili starożytni, a Hanka nie znała starożytnych, ponieważ przerwała szkołę na klasie dziewiątej, powiedziała pierwszej nocy: „Ty jesteś taki delikatny, robisz to tak, jak doktór P". W ten sposób został mi zasygnalizowany doktór P., jedna ze świetlanych postaci naszego miasta, człowiek przystojny, renomowany, powszechnie znany, aczkolwiek dyskretny i tąktowny. Dyskrecja w naszym mieście. Dobre sobie. Doktór P. był lekarzem w szpitalu, gdzie matka Hanki pracowała jako pielęgniarka. Przyjeżdżał małym wozem szpitalnym i trąbił na podwórku donośnie. Hanka wtedy uchylała okno i schodziła na dół. Potem doktór P., jak słyszałem, założył cafe Żu-Żu tylko dla wtajemniczonych. Przyznaję się, z bólem, nie byłem w cafe Żu-Żu.

Później, po latach, miałem się przekonać, że bardziej niż do dziewcząt przyzwyczaiłem się do dzielnic, ulic, zaułków. Tak, kochałem tę dzielnicę, która przed pół wiekiem była kolonią karną dla kryminalistów, kochałem jej uliczki z latarniami gazowymi. Wczesne i lakoniczne. Nie byłem sam, kiedy wychodziłem od Hanki. Czułem sympatię dla furmanów zbierających się w barze „Małym", gdzie czasem zachodziłem, i tych wyrostków w oprychówkach, dziwnych czapkach w kształcie beretu z daszkiem, w narciarskich spodniach i narciarskich butach, płaszczach długich, przepasanych paskiem od spodni, z długimi baczkami... I tę kobietę grubą i energiczną, która zapalała latarnie gazowe długim kijem.

Włóczyłem się tu, a za mną szedł cień, mój fałszywy przyjaciel. Limanowskiego, Konstantynowską, Rynkiem. Wierzyłem, że nie jestem sam. Głupie, spóźnione tęsknoty, za miłością jasną, tak jasną, że prawie oślepiającą. Hanka, a potem inne imiona, inne. Wiek męski wymierzony pończochą nylonową, wiek męski, ta rozrzucona bielizna, te sterczące brunatne piersi, skrzypienie schodów drewnianych, mytych w sobotę, te ranki po nocach, kiedy jej matka miała dyżur w szpitalu, te ranki z dzwonieniem wiader przy lodowatej studni, żelazne i czarne. Ta czerń zmierzchu, podwórka biedoty, podwórka lumpów, w kuchniach wiadra na wodniarce, i płótno wyszywane czerwonymi nićmi przedstawiające dziewczynę, która czerpie wodę i ten napis „Czysta woda, zdrowia doda". Serce Chrystusa, obnażone i krwawiące pięknymi kolcami w ramach brązowych, gładkich, politurowanych.

Lubię tę dzielnicę i tego, młodego, już niemłodego intelektualistę, który tu zamieszkał po wojnie z rodziną. Tam również na ścianie było serce Jezusa, a obok portret Kotarbińskiego, z groźnie nastroszonymi wąsami. „To dla odciążenia atmosfery" — powiedział mi wtedy młody intelektualista. Zachwycał się Celinem i jednocześnie zachęcał mnie gorąco do studiowania klasyków marksizmu i leninizmu. Kiedy oponowałem przeciwko zestawowi, kiedy oponowałem przeciwko różnym rzeczom, ironizował. „Ja jestem matematykiem, ty jesteś numizmatykiem". Nie byłem numizmatykiem, chyba te kilka monet, które wyszły z obiegu, a które przechowywałem, wchodziły w rachubę.

Ach, ta czerń tamtych podwórek i ja gość niespokojny. Czego chciałem od Hanki? Poznać jej smutne ciało, nachylone ku latu, zgłodniałe, nieistniejące. Zapomniałem dodać, że Hanka była gruźliczką. Procent gruźlicy w tej dzielnicy był wysoki. Nie sprawdzałem jednak w Wydziale Zdrowia. To nic, nic. To taki sobie sposób przedstawiania, żyjący, póki nie straci znaczenia, nieprzydatny jako środek wychowawczy.

Kochałem te latarnie gazowe fioletowych przedmieść mojej świadomości, z szaleństwem skrytym, milczeniem, te siateczki przepalone, kruszące się w palcach, kurz między ochrypłym krzykiem w oficynie a pilną monotonią maszyny krawieckiej. Te latarnie mojej skrytości między zielonym płotem a miotającym się przeznaczeniem, rozgwiazdy mętnych ulic, starych matek owiniętych w kraciastą chustkę, młodych robotnic, estetycznie ogarniętych, tak, że czasem nie można poznać, że stoją przy maszynie, podrzędnych modelek chodzących ze studentami, którzy je rzucają po skończeniu studiów, dziewcząt lekkich mających pełne albumy zdjęć w zabawnych pozach seksualnych ze swoimi partnerami i tych dziewcząt awansujących, pijących od południa kawę w „Grandce", pijących wódkę nocą w „Malinowej" lub „Tivoli" za pieniądze postarzałych jeleni, tych dziewcząt skaczących na cluchy do Warszawy lub Wrocławia, na Targi Poznańskie, goście zagraniczni, miłość bez zmęczenia, powrót i przebaczenie latarń gazowych.

Ten jasny krąg światła gazowego, opuszczony krąg, bezsenny, rozpostarta melancholia. Hanka była realna, a ja szukałem wzruszeń niezdefiniowanych, które mi zwiastowała dzielnica skomląc i lamentując. Hartowałem się w ogniu historii prywatnej, wychodziłem na blask elektryczny i neonowy do śródmieścia, niosąc w sobie tamte drewniane budy z cementową podłogą, tamte blizny ciemności i równiny podmiejskie spękane i zabłocone i tamte horyzonty zamknięte niosącym deszczem.

Przyniosłem kiedyś surową kiełbasę i butelkę wina dla Hanki. Hanka ugotowała kiełbasę i podała mi z musztardą. Jej matka, kobieta nie mająca jeszcze czterdziestki, z wyrazistymi jak Hanka cygańskimi oczyma, pomogła nam wypić wino. Zauważyłem, że nie byłaby od tego. Przyszły dwie koleżanki, dziewczęta pracujące w fabryce i chichocząc opowiadały, jak to dzisiaj cała sala mówiła o tym, że podobno technika już tak wysoko zaszła, że zaczęto produkować sztuczne cnoty z jakichś nowych plastików. Przyglądałem się z zainteresowaniem, byłem niecodziennym gościem. Chichotały jeszcze, potem wyszły.

To wszystko dostarczało mi ulgi napełniając nową goryczą. Kiedy leżałem przemęczony rankiem czy o zmierzchu, a Hanka nie rezygnowała, wystarczyło przywołać obraz Maryli, natychmiast się zjawiał posłuszny i wszystko było dobrze.

W tej cienkiej jesionce z podniesionym kołnierzem chodziłem tędy, nie znając końca ani początku tej wędrówki, nie wiedząc co znaczy dzień, co znaczy ciemność. Ach jaki byłem niepodobny do siebie. Oto czas dogodny, lecz już utracony, abym szedł ulicami. Reszta nie było moją rzeczą.

Późnym wieczorem, kiedyś spotkałem nekrolog pewnego profesora, do którego czułem sympatię, mimo, że nienajnowsze wygłaszał teorie. Dotknąłem palcami nekrologu. Był zimny i chropowaty. Klej był na nim rozmazany, zaschnięty w brudne smugi i grudki. Szły noce z przymrozkami, z gałązkami szronu pod źródłami gwiazd żywych i fruwających. Lampy przeznaczenia były rozwarte nade mną, gasły o świcie. Mnożyła się wielość niepojętych znaczeń i mój los kołatał w dzielnicach odartych z tynku i złudzenia. Starzejąc się nie trudno zauważyć, że wszystko staje się coraz dziwniejsze. Że należy faworyzować spokojną decyzję. Oto ostatnie ogniki niespełnionych marzeń, coraz to więcej dzwonków sygnalnych i ta modlitwa kołacząca do nieba. „Panie, od złych strzeż mnie recept, zbyt starych lub zbyt młodych".

Coraz to nowy świt skrzypiał, bańki z mlekiem stały na chodniku pod sklepami. Terkotał sucho budzik na półce, przy radiu, kiedy wracałem do błędów i szaleństwa, do żużli domowych. Moje mieszkanie nie było suwerenne, moje myśli nie były suwerenne, nic, nic nie było suwerenne, wszystko było uzależnione, zdeterminowane, skazane z góry, zapisane gdzieś tam w księgach, a może na odwrocie pudełek od papierosów, które leżały na śmietniku i rozwiewał je wiatr, rozwiewał wiatr.

Informacje Wiadomości Nowinki Ciekawostki i plotki MOTORYZACYJNE

Dlaczego?

...na zarejestrowanie pojazdu mechanicznego w Łodzi trzeba czekać prawie tydzień?... czy nie można spraw rejestracyjnych motocykli i samochodów oddać Dzielnicowym Radom Narodowym, które już zajmują się rejestracją rowerów?...

*

...w sklepach „Motozbytu" pojawiające się od czasu do czasu ogumienie wymiaru 4.00-19 ma wyłącznie bieżnik terenowy?...

*

...przebudowując narożnik ulic Kilińskiego i Jaracza nie pomyślano o urządzeniu tam również parkingu?... miejsca jest dużo, starczyłoby i na skwer i na parking, a pobliski Teatr im. Jaracza wymaga chyba jakiegoś miejsca na zaparkowanie samochodów...

*

...na mieście stale pojawiają się pojazdy z polskimi tablicami rejestracyjnymi, a obcymi znakami państwowymi?... prym wiedzie tutaj „B" (Belgia) często wielkie, metalowe, umocowane bezpośrednio na karoserii...

Nowinki

Wkrótce w sklepach „Motozbytu" ukażą się kaski ochronne dla motocyklistów, używane powszechnie na Zachodzie. Wykonane z tworzywa sztucznego, koloru białego, z podpinką pod brodę, estetyczne i trwałe, znajdą z pewnością licznych nabywców wśród entuzjastów sportu motorowego.

*

W ciągu najbliższych tygodni ukażą się w sprzedaży długo oczekiwane skutery polskiej produkcji marki „Osa". O ich sukcesach na zagranicznych szosach donosiła prasa codzienna. Skutery te bardzo starannie i estetycznie wykonane, o pojemności 150 cm będą kosztować 17.000 zł.

...że sklepy uspołecznione, idąc za wzorem sklepów „Motozbytu" będą żądać kwitów zdania starej rzeczy przy nabywaniu nowej?... i tak, kupując np. szafę będziemy się musieli wylegitymować kwitem dostarczenia odpowiedniej długości... kloca, a kupując np. futro, kwitem dostarczenia odpowiedniej wielkości.... barana... skoro „Motozbytowi" wolno sprzedawać nowe akumulatory tylko pod warunkiem złożenia kwitu dostarczetnia odpowiedniej ilości ołowiu, to dlaczego inne branże nie miałyby prawa skorzystać z tego wspaniałego „wynalazku"?...

*

...że ceny używanych „Wartburgów" i „Fiatów" 600, utrzymujące się do niedawna na paskarskim poziomie, wykazują tendencje zniżkowe?... no cóż, sezon w pełni, rozpoczęły się urlopy, a kupców z nabitą „kabzą" i słabą znajomością tajników samochodziarstwa coraz mniej...

Redaguje Zespół ○ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" ○ Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79 ○ Warunki prenumeraty: miesięcznie 4.— zł, kwartalnie 12.— zł. ○ Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca ○ Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Z. 2187. VII. 58. S-3